WTOREK
Nr 112 16 XI 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NOWE WARUNKI prenumeraty „Świata Młodych" na rok 1983

Cena prenumeraty: mies. 65,– kwart. 195,– półr. 390,– rocznie 780,– złotych.

1) **dla osób prywatnych – instytucji i zakładów pracy**
   - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", zamawiają prenumeratę w tych oddziałach,
   - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli,
2) **dla osób fizycznych – indywidualnych:**
   - osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli,
   - osoby niepełnosprawne a mieszkające samotnie opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych, przy użyciu „blankietu wpłaty", na rachunek bankowy: Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw w Warszawie, ul. Towarowa 28, nr konta NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.
3) Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i zagranicę:
- do dnia 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze oraz cały rok 1983
- do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku 1983.

KSIĄŻKA O PAPIEŻU – POLAKU

(PAP). We Francji ukazała się książka znanego dziennikarza André Frossarda, zatytułowana „Nie obawiajcie się", która zawiera odpowiedzi papieża Jana Pawła II na 70 pytań dotyczących najważniejszych kwestii współczesnego świata.

W liczącej prawie 400 stron książce zawarte są myśli „polskiego papieża" na temat wiary, obyczajów, Kościoła, świata, a także refleksje nad własną osobą.

„Nie obawiajcie się" – to były pierwsze słowa skierowane przez papieża do rzymian po jego wyborze 16 października 1978 r. **(kl)**

PAROWOZY – MOJA MIŁOŚĆ

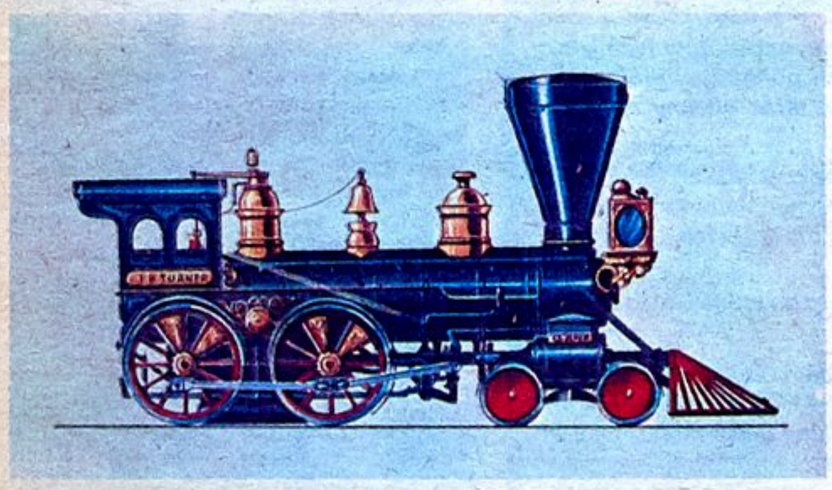

Lokomotive der Chicago – Western-Bahn (1867)

Szczegóły na str. 5

Goździki decydują same

Rośliny uprawiane w szklarniach są całkowicie zależne od człowieka. To on ustala skład gleby, rodzaj nawożenia, częstotliwość podlewania, temperaturę otoczenia. Jeśli któryś z tych składników zostanie źle dobrany, cała plantacja może ulec zniszczeniu.

Aby zapobiec takim niespodziankom, w Fizyczno-Energetycznym Instytucie Akademii Nauk Łotewskiej SRR decyzje w sprawach dla roślin najważniejszych oddano... im samym. Miniaturowe urządzenia mierzą nieprzerwanie temperaturę liści i powietrza, wilgotność łodyg, szybkość wzrostu. Dane te sterują blokiem klimatyzacyjnym dostarczającym dwutlenku węgla, włączającym dodatkowe światło w odpowiednich dawkach, regulującym temperaturę, nawodnienie gleby, wilgotność powietrza. Goździki i gerbery rosnące w tej niezwykłej szklarni decydują więc same o tym, co dla nich dobre. **(jd)**

Pomysł do naśladowania

Pieskie życie...?

Jestem uczniem V klasy i chodzę do Szkoły nr 25 im. Tadeusza Kościuszki w Krakowie. Bardzo lubię zwierzęta, a szczególnie psy. Wprawdzie nie mam psa, ale przyjaźnię się z psem mojego dziadka, który mieszka w Rabce. Uważam, że każdy pies powinien mieć swój dom i swojego pana. Nie rozumiem ludzi, którzy nie lubią psów i obchodzą się z nimi źle lub okrutnie.

Często wyjeżdżam do Rabki, gdzie mogę spędzać całe dnie na zabawie i wędrówkach po okolicy. Szczególnie utkwiła mi w pamięci jedna z wędrówek, w trakcie której zwróciłem uwagę na wspaniałe psie budy. Na szczęście tato na każdą wycieczkę zabiera ze sobą aparat fotograficzny. Skorzystałem z okazji i poprosiłem, aby zrobił dla mnie jedno zdjęcie ciekawej „willi" – budy dla psa. Tak się tym tematem zainteresowałem, że tato pozwolił mi zrobić samemu kilka dalszych zdjęć. Gdy je obejrzałem, przyszedł mi do głowy pewien pomysł, którym chcę się podzielić z koleżankami i kolegami czytelnikami „Świata Młodych".

Proponuję przysyłanie do „ŚM" zdjęć i rysunków ciekawych i nietypowych pomieszczeń zbudowanych przez człowieka dla zwierząt. Może okazać się, że w każdym regionie kraju są inne. Myślę, że będzie to ciekawa i pożyteczna zabawa.

Szymon Duda

Fot. **Jerzy i Szymon Duda**

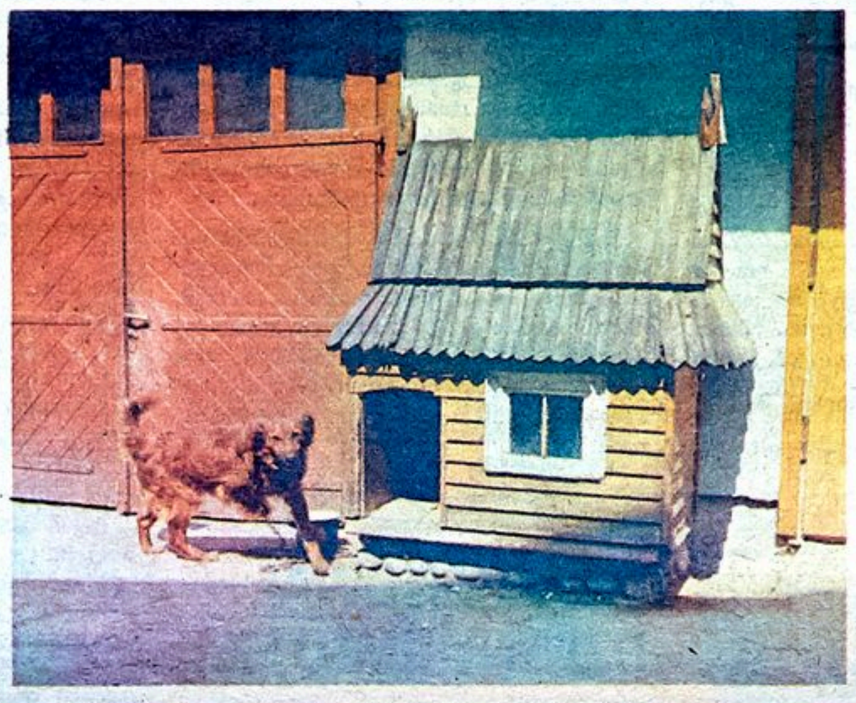

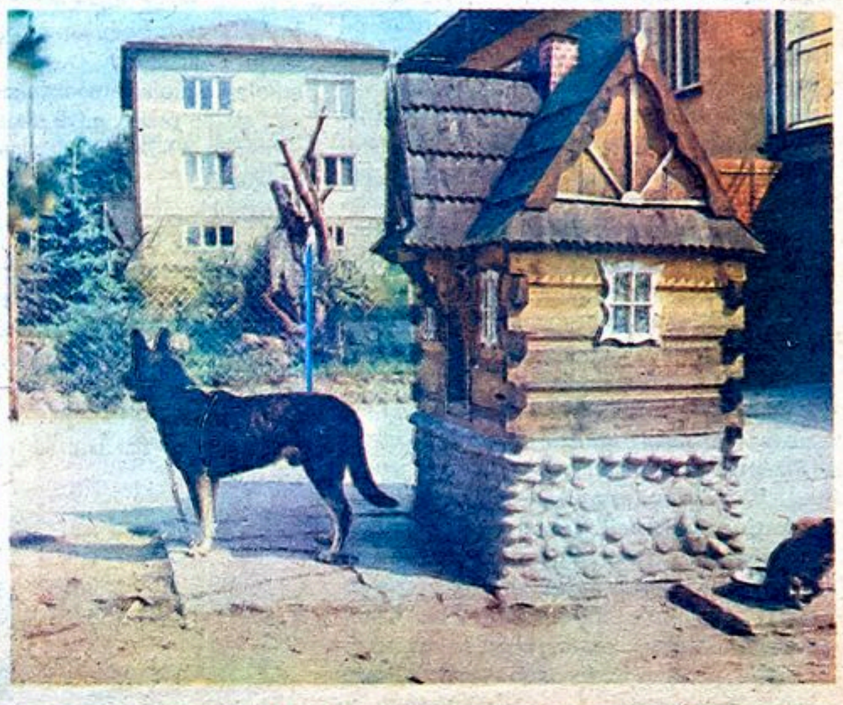

5-LECIE CENTRUM ZDROWIA DZIECKA – JUŻ ZA NAMI

WARSZAWA (PAP). 5 lat temu, 15 października 1977 r., oddano do użytku 3 pawilony polikliniki szpitala – pomnika Centrum Zdrowia Dziecka. Oznaczało to zakończenie pierwszego etapu budowy tej placówki medycznej, wzniesionej wyłącznie ze środków społecznych – dla uczczenia pamięci 13 mln dzieci, w tym ponad 2 mln 200 tys. dzieci polskich, które poniosły śmierć w czasie drugiej wojny światowej. W dwa lata później nastąpiło otwarcie gmachu szpitala na ok. 430 łóżek, a trzeci etap budowy CZD znajduje się w toku realizacji i powinien być zakończony w przyszłym roku.

Z inicjatywą upamiętnienia bohaterstwa i męczeństwa najmłodszych ofiar hitlerowskiego barbarzyństwa wystąpiła w 1965 r. znana pisarka Ewa Szelburg-Zarembina. W trzy lata później Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa zaproponowała, aby rolę takiego pomnika spełniał szpital dla dzieci. Idea ta spotkała się z gorącą aprobatą całego polskiego społeczeństwa, zyskała także szerokie poparcie poza granicami naszego kraju. W ciągu 14 lat od momentu powołania społecznego komitetu budowy CZD zebrano na ten cel przeszło 2,8 mld zł i 18,5 mln dolarów.

Od 5 lat w Warszawie-Międzylesiu leczą się już pacjenci z całego kraju, a także z zagranicy. Centrum Zdrowia Dziecka wyposażone jest w nowoczesny sprzęt medyczny i aparaturę diagnostyczną. W okresie 1977–81 w przychodniach specjalistycznych CZD przyjęto blisko 150 tys. najmłodszych pacjentów. Udzielono im ogółem 273 tys. porad lekarskich. W części szpitalnej przebywało ponad 7 tys. dzieci i młodzieży. Wykonano tam ponad 2600 zabiegów operacyjnych.

Dotychczas w CZD leczyło się również ponad 170 dzieci z 42 krajów świata, m. in. z ZSRR, Libii, Bułgarii, Francji, Włoch, a także Japonii, Meksyku i Indii. Podane liczby świadczą więc najlepiej o przydatności tej placówki, będącej w opinii wielu osób najpiękniejszym pomnikiem świata.

(kl)

LEŚNI KASKADERZY

BIELSKO-BIAŁA (PAP). W Beskidach trwa zbiór szyszek świerkowych na nasiona. Zbierają je tradycyjnie od lat wyspecjalizowani „kaskaderzy leśni", którzy z pomocą liny – niczym wiewiórki – przerzucają się z jednego na drugi czubek strzelistych świerków.

Największe zbiory pochodzą z nadleśnictwa Istebna w Beskidzie Śląskim, gdzie rosną ponad 40 i więcej metrowe ogromne świerki. Nasiona tych świerków sprzedajemy do Norwegii, Szwecji i Finlandii.

Praca zbieraczy szyszek jest trudna i niebezpieczna, a plonem ośmiogodzinnej pracy jest przeciętnie 5–7 kg szyszek. I w tej dziedzinie są jednak „geniusze", którzy potrafią zebrać i 10 kg dziennie.

(kl)

UCZESTNIKOM KONKURSU „UWAŻAJ, COŚ JEDZIE!" – PRZYPOMINAMY:

W 106 nrze „ŚM" wydrukowaliśmy ostatni odcinek naszego konkursu. Przez **10 dni** od chwili ukazania się dzisiejszego numeru gazety możecie nadsyłać rozwiązania zadań konkursowych.

Do wzięcia udziału w losowaniu nagród upoważnia prawidłowe rozwiązanie 15 z 18 opublikowanych zestawów pytań.

Odpowiedzi na wszystkie zadania konkursowe należy przysyłać na **jednej karcie pocztowej.** Listy i rozwiązania „na raty" nie będą brane pod uwagę, zgodnie z ogłoszonymi na początku warunkami konkursu.

Życzymy Wam powodzenia

Redakcja

Nasze sprawy

ZADYMIONE KAWIARNIE NIE SĄ DLA MŁODZIEŻY

Chciałybyśmy podzielić się z Wami refleksją na temat możliwości spędzania wolnego czasu w małych miasteczkach. Mieszkamy w Gostyniu Poznańskim. Jest w nim kino, kręgielnia, kawiarnie, ale niestety, te ostatnie nie są dla nas. Godzinami przesiadują w nich zazwyczaj ci sami ludzie i piją, palą, piją, palą itd. Woń alkoholu i dym papierosowy nie zachęca do wejścia, raczej odstrasza. Dla nas, niepalących, spędzenie niedzielnego, zwłaszcza zimowego popołudnia w przytulnej kawiarence przy dobrych lodach i ciastku pozostaje marzeniem. Dlaczego, ta część młodzieży, która nie pali, nie chcąc się „udusić", musi rezygnować z tej formy spędzania wolnego czasu?

I jeszcze jedna sprawa. Dorośli narzekają na młodzież, krytykują ją między innymi: za picie i palenie. Dlaczego jednak nie pomyślą o usunięciu przyczyn tych zjawisk? Takie „wonne" i zadymione kawiarnie sprzyjają przecież naśladowaniu i przejmowaniu wzorów zachowania dorosłych. Czy nie można by wydzielić kawiarni dla młodzieży, lub jak ktoś woli – bezalkoholowych i bez dymku z papierosa?

Czytelniczki

REPORTER Świata Młodych

Liga Reporterów

RODZINA I JA

SAMODZIELNOŚĆ?

Dlaczego postanowiłam napisać pomimo tego, że nie mam rodziny? Może dlatego, by pokazać, że bez ciepła rodzinnego też można żyć?

Kiedyś miałam rodzinę, lecz teraz są tylko cztery puste ściany, cisza, którą przerywa cykanie zegara lub warkot samochodu na ulicy.

Najpierw był dom, taki prawdziwy, najprawdziwszy... Byłam ja, mama i tata. Było nam dobrze, ale potem zaczęło się coś dziać. Tato długo nie wracał, a jak już wracał, to często pijany. Wtedy były krzyki, awantury i płacz... Byłam wtedy mała, nie pamiętam ile miałam lat, ale wiem, że wtedy skończyło się moje dzieciństwo. Gdy podrosłam, zrozumiałam, że ojciec pije, że te jego niebytności w domu po parę tygodni to nie „wyjazd w teren" – tylko picie wódki. Gdy nie wracał do domu było dobrze, ale gdy wrócił... Potem znów nadchodził spokój i tak od nowa.

Mamusia zachorowała – zawał. Wzięła mnie do siebie dużo starsza siostra. Jak mamusia wróciła do domu, było lepiej. Nie było już tego „ciepła" od obojga rodziców, bo tylko od mamy, ale mimo to był dom, chociaż nie było w nim ojca. Dawałyśmy sobie radę, doskonale się rozumiałyśmy, było cudownie. Żyłyśmy we dwie. Kochałyśmy się, teraz myślę czasem, że to był tylko sen. Chcecie wiedzieć, jak wyglądał mój dzień? Wracałam ze szkoły, szłam rwać pokrzywy dla świń, trawę dla kur. Gdy to zrobiłam, wychodziłam do autobusu po mamę. Gdy była zima – paliłam w piecu. Mama odczuwała chorobę, mimo to była zawsze uśmiechnięta.

Wszystko się kończy i wszystko przemija, nasza „sielanka" też się musiała skończyć. (Przez ten okres mama była parę razy w szpitalu). W 1978 r. mamusia odeszła ode mnie. Odeszła na zawsze. Gdy poszłam do ogólniaka, wróciłam do „swego domu". Nadal jestem w nim, choć siostra mówi, abym przyszła do niej. Nie chcę. Ze mną mieszka ojciec. Łączy nas tylko kuchnia, z której oboje korzystamy. Przykre, ale prawdziwe. Mam swój dom, mam swoją samodzielność. I co z tego? Mam to, co chciałaby mieć każda 18-latka, ale nie mam tego najważniejszego, nie mam DOMU.

No, ale w końcu nie jest tak źle. Dostałam od koleżanki pieska. Już teraz wszystko się zmieni. Wprawdzie nie będzie to rodzina, ale zawsze ktoś na mnie będzie czekał w domu... Będziemy już we dwoje.

ELŻBIETA (17 lat)
Członek Ligi Reporterów

OBY BYŁO TAK DALEJ

Jaka jest moja rodzina? Szara polska rodzina (2+2). Jednak właśnie ona jest tym, co kocham najbardziej.

Oto zwykły dzień. Rano budzi mnie pociąg i spoglądam przez okno na tory. „Kiedy patrzę na te tory, kiedy widzę semafory, to aż serce się ściska, bo ta kolej taka bliska". Tak, bardzo bliska. Jest ona cząstką mego życia. Rodzice pracują na kolei.

– Ubieraj się, już szósta – słyszę głos mamy. Zjadam śniadanie i do szkoły. Dojeżdżam oczywiście pociągiem, gdyż mieszkam w dzielnicy Szczecina oddalonej od centrum. Po przesiedzeniu 7 godzin w szkole wracam do domu. Wreszcie mogę odpocząć. Pogadam z mamą. Pobawię się z kilkuletnim braciszkiem. Zjem obiad i do lekcji. Gdy już ten obowiązek szkolny wykonam, pomagam mamie wyszykować się do pracy, gdyż idzie na noc. Zostaję z bratem. Oglądam telewizję. Śmiejemy się. Dzwonek. To tata wraca zmęczony z dniówki. Jak zwykle pije tylko mleko, które najbardziej lubi. Słucha w swoim pokoju radia. Czytam książkę, potem żegnam się z tatą i braciszkiem, kładę się i znowu zasypiam jak co wieczór. Kończy się zwykły mój dzień. Nie ma u nas wielkich spraw i nieporozumień. Jesteśmy po prostu normalną, zwykłą rodziną w tym zabieganym świecie. Jednak nie chcę by się ona zmieniła. Tak nam jest dobrze i oby było tak dalej.

Violka

CHYBA NIE JESTEM PRZYGOTOWANA DO ŻYCIA?

Mieszkamy w czwórkę, rodzice, kot i ja. Mój tata całe swoje życie spędził w Łodzi, tutaj też studiował prawo. Mama jest warszawianką, jednakże już, gdy była mała – przeniosła się z rodzicami do Łodzi. Mama skończyła filologię polską i do tej pory pracuje w zawodzie nauczycielskim. Kocham ich oboje, to zrozumiałe, lecz większym zaufaniem obdarzam mamę. Jej mogę powiedzieć wszystko, zawsze próbuje mi pomóc. Najważniejsze jest to, że nie lekceważy moich błahych spraw. Z ojcem nie rozmawiam, bo jego interesuje przede wszystkim praca, którą wykonuje. Nie porozmawiam z nim np. o filmie, który wspólnie oglądaliśmy, bo uważa, że tylko on ma rację, nie przyjmuje argumentów, lekceważy moje zdanie. Wydaje mi się, że tata tkwi w przekonaniu, iż muszę go kochać, ponieważ jest moim ojcem. Zgoda, tak jest, lecz ta miłość leży na dnie mego serca. Tata nie stara się powiększać jej, nie próbuje zyskać szacunku w moich oczach. Natomiast mama postępuje tak, że moja miłość do niej jest pierwsza, z każdym miesiącem rośnie wraz z szacunkiem. Obowiązki domowe nie są u nas prawie zupełnie podzielone; tzn. większość domowych robót wykonuje mama, ja zajmuję się kotem, a tato przynosi do domu nieraz jakieś kupione produkty spożywcze. Wolny czas mam rzadko, a gdy już zbiegnie się on z wolnym czasem rodziców, siadamy przy herbacie, rozmawiamy lub oglądamy telewizję. Uważam moją rodzinę za najzupełniej normalną, owszem kłócimy się nieraz, lecz ja nie umiem się obrażać, toteż po godzinie wszystko wraca do normy. Mamy przecież wady i zalety.

Jeśli kiedykolwiek założę rodzinę, to przede wszystkim sprawiedliwie podzielę obowiązki, bo wydaje mi się, że pracy można się nauczyć. Często okazuje się, że nie umiem zrobić czy ugotować tego lub tamtego, mama denerwuje się, lecz nie próbuje mnie tego nauczyć. Od tej strony nie jestem chyba przygotowana do życia...

Joanna

ZAPANOWAŁ DZIWNY SMUTEK...

Jestem stałym czytelnikiem „ŚM", jest to bardzo ciekawa gazeta, nawet tak twierdzą rodzice, bo chętnie czytają „ŚM". Długo się wahałem, czy ten list napisać...

Moja mamusia musi decydować zawsze sama, zawsze jest górą, ale robi to tak, że to nie razi pozostałych osób. Oboje rodzice poświęcają mnie i 6-letniemu bratu dużo czasu. Mamusia uczy nas języka niemieckiego, francuskiego. Jeździmy na wczasy razem, choć nieraz rodzice mają kłopoty z urlopem. Zwiedziłem prawie całą Polskę na rowerze, pieszo, samochodem, też z rodzicami. Byłem za granicą.

Tatuś w piwnicy założył warsztat, gdzie pod jego okiem możemy robić różne cuda z drewna. Zawsze w wolną sobotę, gdy rodzice mają wolne, to przy śniadaniu omawiamy plan tygodnia i zajęć w domu. Materialnie jest dość dobrze. Mamusia jest dobrą gospodynią, bo na zimę piwnica pęka od zapasów, choć wszystko nieraz robi w nocy. I za to cenię mamusię wyżej, bo czyni wszystko, aby nam i tatusiowi nic nie brakowało.

Od pewnego czasu zauważyłem zmianę w domu. Tatuś traktował mamusię inaczej niż zwykle. Zapanował dziwny smutek. Dziwiło mnie to bardzo, bo mamusia jest zawsze zadbana, ubiera się ładnie, bardzo dba o swój wygląd. I stało się to – co staram się zapomnieć, ale stale widzę to dokładnie. Brat zachorował w przedszkolu, kiedy go odbierałem, pani powiedziała, że ma gorączkę. Zadzwoniłem do pracy mamusi. Po przyjściu stwierdziła, że ma brzydką anginę. Musiałem iść do apteki. Zbliżając się do apteki zobaczyłem tatusia, szedł z obcą kobietą, trzymali się za ręce. Byłem przerażony, bo zrozumiałem wtedy tę sytuację w domu. Podbiegłem i wypaliłem bez tchu: Walduś chory, a mamusia ma dyżur, brat jest sam z sąsiadką! Tylko się uśmiechnął i odszedł. Wrócił wieczorem. Od tej chwili stracił u mnie wszystko, nawet zaufanie. Mamusia starała się mi wytłumaczyć, że w życiu różnie jest, że tatuś nas kocha i muszę to zrozumieć. Ale ja nie wierzę! Jak mógł coś takiego zrobić? Jak mogę znowu pokochać i zaufać? I wiem, że gdy dorosnę nigdy nie będę ranił swoich dzieci.

A tak bardzo go kochałem i był dla mnie wzorem. Ostatnio czytałem książkę „Ten obcy" Ireny Jurgielewiczowej, tylko że los chłopca imieniem Zenek był inny, bo on nie pragnął powrotu do domu, a ja odwrotnie – tak bym chciał, aby tatuś się zmienił i żeby było jak dawniej. Wiem, że mamusia bardzo cierpi, ale zachowuje się tak, jakby nic nie zaszło. To dzięki niej tatuś jest razem z nami. Dlaczego tatuś bardziej ceni przygodę niż szczęście naszego domu?

Cierpliwy

Spotkania

CZEŚĆ I DYNAMIT

A właściwie cześć z dynamitu, jak to wyjaśniłem przed tygodniem, przypominając dzieje Fundacji Nobla i związanych z nią nagród oraz jej pierwszych polskich laureatów: Marię Skłodowską-Curie i Henryka Sienkiewicza.

„Quo vadis" było ogromnym sukcesem autora. Powieść przerabiano na scenę jako dramat i operę, opracowywano jej skrócone wersje dla młodzieży, filmowano, no i oczywiście przekładano na dziesiątki języków. Ale jednocześnie – jak podpowiada historyk literatury – autorowi „zarzucano płyciznę intelektualną, ignorancję, plagiaty, określano go jako barbarzyńcę z pretensjami do zabierania głosu w sprawach, którymi żyje cywilizowana ludzkość".

Na podkreślenie zasługuje fakt, że – jeśli można to tak powiedzieć – powieść zdobyła nagrodę dzięki sobie samej. Akademia Szwedzka nie miała nawet informacji o jej autorze, który był przecież wtedy przedstawicielem narodu pozbawionego rozbiorami od lat własnego państwa.

Władysław Stanisław Reymont, zanim został w roku 1924 – na rok przed śmiercią – laureatem nagrody Nobla za wydawaną w latach 1904–1910 powieść „Chłopi" (według której zrealizowany serial przypomniała niedawno nasza telewizja), był... czeladnikiem krawieckim i wędrownym aktorem, nowicjuszem klasztornym i drobnym urzędnikiem, któremu wyjazd do Włoch i Francji umożliwiło dopiero... odszkodowanie za wypadek kolejowy. Jeszcze druk „Chłopów" w warszawskim „Tygodniku Ilustrowanym" wzbudzał sprzeciwy czytelników nie przyzwyczajonych do takiej tematyki. A potem przyszła książka. Nie tylko przełamała te opory, nie tylko przyniosła pisarzowi światową sławę, ale pociągnęła za sobą licznych naśladowców, których dzieła – jak to z naśladownictwem zwykle bywa – nie dorównały nigdy oryginałowi.

Jeszcze szczególniejszy przypadek stanowi nasza ostatnia literacka nagroda Nobla, którą w roku 1980, szokując większość zaskoczonych Polaków, przyznano Czesławowi Miłoszowi, który – jak napisano w uzasadnieniu – „z bezkompromisową wnikliwością ujawnia zagrożenie człowieka na świecie pełnym gwałtownych konfliktów". Najpierw, po wybraniu w czasach stalinowskich politycznej emigracji, oficjalnie przekreślony i zapomniany we własnym kraju, teraz obecny nawet... w podręczniku języka polskiego dla klasy czwartej!

Może nie bez powodu w jednej z rozmów Czesław Miłosz powiedział:

„Po Noblu grozi mnie, być może, pewne windowanie na piedestał zanadto wysoki, po to, żeby jednym kopnięciem strącić w limbo na dłuższy czas, jak zwykle bywa z twórcami."

Kolejność na szczęście jak dotąd jest odwrotna. A limbo to po angielsku to samo co otchłań, zapomnienie, lamus i więzienie razem wzięte.

Przy okazji warto przypomnieć, że Nobel Miłosza nie jest pierwszym przypadkiem nagrody dla pisarza-emigranta, dzięki któremu wyróżniona zostaje przecież i literatura rodzima kraju jego pochodzenia. W podobnej sytuacji był gwatemalski pisarz Miguel Angel Asturias, będący również laureatem międzynarodowej nagrody Leninowskiej. Większość swego życia spędził poza ojczyzną i zgodnie ze swą wolą pochowany został osiem lat temu w Paryżu. Jego pierwsza głośna powieść „Pan prezydent" to oskarżenie ówczesnej gwatemalskiej dyktatury, która upodla i niszczy człowieka.

Tegoroczna nagroda literacka Nobla dla Gabriela Garcii Marqueza to znowu wyraz uznania dla prozy tamtego regionu świata, prozy iberoamerykańskiej i pisarza, który większość życia też spędza na mniej lub bardziej przymusowym wygnaniu. Jego najgłośniejsza powieść – „Sto lat samotności" – która i w Polsce miała już kilka wydań, to stuletnia historia rodziny zamieszkałej w wymyślonym miasteczku Macondo, stanowiąca dla samego autora symboliczną syntezę wszystkiego, co dzieje się dziś w Ameryce Łacińskiej. Właśnie to podkreśliła w swym werdykcie Akademia Szwedzka wyróżniając pisarza za powieści i nowele, które poprzez świat wyobraźni ukazują życie i sprzeczności tej niezwykle ciekawej części naszego globu.

Garcia Marquez przebywał w Polsce, gdy jeszcze proza iberoamerykańska nie miała tylu zwolenników, a on sam nie był jeszcze autorem swych „Stu lat samotności", wydanych w roku 1967. Może dlatego matka dziecka – bohatera tej książki, wysłana przez rodzinę do klasztoru, umiera w małym przytułku... w Krakowie.

Jeśli chodzi o polonica, to można jeszcze wspomnieć laureatkę Pokojowej Nagrody Nobla, Szwedkę Alvę Myrdal, która działała w ramach Czerwonego Krzyża na rzecz ofiar wojny w Polsce.

Miejmy nadzieję, że na tym związki Polski z nagrodami Nobla nie skończą się i może jeszcze kiedyś trafią do nas procenty od... szwedzkiego dynamitu.

Tytuł „Cześć i dynamit" zapożyczyłem od Władysława Broniewskiego z jego wiersza poświęconego wojnie domowej w Hiszpanii. Właśnie w czasie jej trwania hiszpański poeta Juan Ramón Jiménez, który w dwadzieścia lat później też został laureatem nagrody Nobla, wyemigrował do Puerto Rico.

Jarek

REDAKCYJNA POCZTA

Zaczynam myśleć, że to jakaś zmowa klasy

Pełnię funkcję przewodniczącej VIII klasy i zastępcy przewodniczącej samorządu szkolnego. W poprzednich latach nie sprawowałam żadnych funkcji. Zgodziłam się na przyjęcie obu, ale zupełnie inaczej wyobrażałam sobie moją pracę. Wszystko co robię (moim zdaniem dobrze), przez koleżanki oceniane i odbierane jest negatywnie. Zawiodłam się na swojej klasie. Na początku roku szkolnego zorganizowałam rajd. Wszyscy gorąco poparli ten projekt, gdy jednak przyszło do realizacji, z planowanych trzydziestu pojechało zaledwie parę osób. Na szczęście udało mi się namówić koleżanki i kolegów z innych klas. Podobnie jest ze wszystkimi moimi propozycjami i staraniami.

Cieszyłam się z wyboru na powyższe funkcje, ale teraz zaczynam myśleć, że to jakaś zmowa klasy. Czuję się w klasie samotna. Koleżanki i koledzy zauważają mnie tylko wtedy, gdy czegoś potrzebują.

Postanowiłam napisać do Ciebie, ponieważ nie wiem co o tym sądzić i co robić. Z rodzicami nie chcę na ten temat rozmawiać, bo i tak mnie nie zrozumieją. W klasie też nie mogę nic mówić. Gdy zwierzę się jakiejś koleżance ze swoich kłopotów, to zaraz cała klasa o tym wie.

Po przyjściu ze szkoły często płaczę i różne okropne myśli mnie nachodzą. Poradźcie co robić, jak porozumieć się z klasą?

Zrozpaczona Ela

Wielu nie chciało bawić się z „wsiokiem"

Postanowiłem napisać do Was w sprawie, która mi się bardzo nie podoba i denerwuje mnie. Chodzi o stosunek dzieci z miasta do dzieci ze wsi.

Jestem ze wsi. Nie ukrywałem tego, przebywając z rodzicami na wczasach. Podczas wspólnej zabawy jeden z chłopców z miasta powiedział do mnie – „ja nie lubię wsioków" – i odszedł. Nie wszyscy chłopcy byli takiego samego zdania, ale wielu nie chciało bawić się z „wsiokiem". Takie odnoszenie się jest bardzo obrażające i tak samo przykre jak inne przezwiska. Ja ich nie przezywałem. Myślę, że gdyby każdy „mieszczuch" znalazł się w mojej sytuacji, zrozumiałby, co się wtedy czuje. Dzieci z miasta uważają się za lepsze, mądrzejsze itd. Czy wyrazem tego ma być wyżej opisany stosunek do dzieci ze wsi?

Jacek

Uważajcie na pisownię

Do napisania do Was skłoniła mnie lektura listów, które otrzymałam po wydrukowaniu mojego adresu w „KP". W większości z nich spotkałam się z rażącymi błędami ortograficznymi. Były one w wyrazach tak popularnych i często używanych, że wprost trudno mi było uwierzyć, iż można je popełniać. Rozumiem, każdemu może zdarzyć się błędne napisanie wyrazu, ale jak można w prawie każdym wyrazie np. z „ó" pisać „u" czy zamiast „ż" – „rz" i odwrotnie. Chciałabym tą drogą zaalarmować wszystkich – uważajcie na pisownię. Jeśli nie jesteście pewni, jak napisać jakiś wyraz, zajrzyjcie do słownika ortograficznego.

Elżbieta

ŚLADY

W DOMU LEWANDOWSKICH. JULISZEW. Zebrała się cała rodzina: matka, ojciec, trzech synów, a i babcia przyszła. Płyną wspomnienia o tym, jak ojciec pomagał ratować ludzi, służąc za przewodnika kierowcy amfibii. I o tym, jak się potem poniewierali, bo chociaż kartka z gminy była, ludzie ich nie chcieli przyjąć. I o matki nogach, odmrożonych aż ponad kolana. I o tym, jak po powrocie drzwi trzeba było z lodu odkuwać, a i sprzątać z pól wszystko, co woda naniosła: deski, płoty całe, puszki, papiery, chwasty jakieś dziwne, piach. O tym, jak ziemia taka zbita była, że Radek dwa razy drapał ją ciągnikiem, a koń i tak potem nie mógł zaorać. I z pięć lat może czekać trzeba będzie, aż stanie się taka, jaką kiedyś była.

Tak, w styczniu wraz z wielką wodą przyszło na ludzi i na stworzenie wielkie nieszczęście. Ale tyle już przecież powiedziano i napisano o tragedii spod Płocka. Po cóż więc do tego wracać, skoro temat został wyczerpany, a woda dawno odeszła? Skoro na wiosnę, na miejscu zmarnowanych ozimin, były nowe zasiewy, a dzięki pogodzie tego lata – dobry urodzaj? Skoro odszkodowania były i są wypłacane, a na powodzian spłynął deszcz darów od dobrych ludzi z całej Polski? Po co?

Otóż ślady po powodzi zostały nie tylko na ścianach zalanych kiedyś budynków. Zostały nie tylko w ludzkiej pamięci jako wspomnienie o dniach, kiedy kilkadziesiąt metrów do przebycia „rozrastało się" w nieskończoność, w przenikającym do szpiku kości zimnie, w ciemnościach; kiedy włosy stawały dęba od przeraźliwego ryku topiącego się bydła; kiedy krety, myszy i szczury ze strachu przed wodą przestawały bać się człowieka; kiedy chodziło się na okrągło w zlodowaciałych gumiakach; kiedy piło się „spapraną" wodę, a jeść nie było co ani dla ludzi, ani dla stworzenia, bo wszystkie zapasy były albo zalane, albo zmarznięte... Śladów jest więcej. Wystarczy odwiedzić szkołę i kilka gospodarstw w gminie Słubice.

W szkole. Świniary.

Nauczycielki uważają, że właściwie cały rok szkolny dzieci mają stracony. Porozwożone po całej Polsce uczyły się w różnych szkołach, z różnych podręczników, różne było tempo przerabiania programów. Do dziś jeszcze nie udało się tych różnic wyrównać.

Dobrze, że chociaż z miejsc, gdzie uczniowie ze Świniar znaleźli przytulisko, zostały dobre wspomnienia. Dziewczyny, które były w Ujeździe, do dziś korespondują z koleżankami stamtąd. Nauczycielki, które wraz z sześćdziesięciorgiem swoich uczniów spędziły ponad dwa i pół miesiąca w ośrodku warszawskiego Transbudu w Borowskim Lesie, doceniają gościnność i starania gospodarzy. Urządzili im na miejscu w ośrodku prawdziwe klasy szkolne, wyposażając je w ławki i tablice, zorganizowali i kulig, i choinkę, i dyskoteki, i wycieczki, i spotkania z aktorami. Słowem nie tylko ofiarowali gościnę, ale też pomogli dzieciom „nałapać się kultury". A i w dalszym ciągu starają się utrzymywać ze szkołą w Świniarach serdeczny kontakt.

– Ale w całej historii powodzi jedynie oni, ludzie z Transbudu, okazali nam naprawdę dużo serca – stwierdza pani dyrektor.

Minął prawie rok, a do dziś nauczycielki szkoły w Świniarach nie mogą pogodzić się z krzywdą, jaka spotkała ich uczniów. Mieli obiecany wyjazd do Czechosłowacji, organizowany przez TPD i płockie kuratorium. Kiedy wszystko na miejscu zostało już załatwione i przygotowane, okazało się, że z wyjazdu nici. Sensowne argumenty podobno nie padły. Uczniowie ze Świniar wylądowali na dziesięciodniowych koloniach w... Płocku. A do gminy tymczasem dotarła wieść, że dzieci ze szkół płockich wyjechały sobie na konto powodzi aż do Szwajcarii.

Minął prawie rok, a tu nagle wypłynęła sprawa butów. Wkrótce po powodzi na adres szkoły przyszło w ramach darów 20 par butów. Ponieważ dzieci było ponad 150, przy podziale nie obeszło się bez niesnasek i zawiści. Tymczasem wątpliwi szczęśliwcy, którym dostały się wówczas np. letnie pantofle lub kalosze, nie mają dziś prawa kupić butów na talony! W czym przechodzą zimę?

Minął prawie rok, a pozostał żal do części społeczeństwa i władz gminy, które po powrocie siedmiu nauczycielek z Borowskiego Lasu przywitały je stwierdzeniem: „na wczasach sobie pobyły, jedzenie za darmo miały!" Ładne wczasy. Normalne uczenie gromady dzieci – od zerówki do ósmej klasy – a do tego całodzienna matczyna krzątanina przy całej sześćdziesiątce i jeszcze swoich rodzonych. Po powrocie z tych „wczasów" znikąd pomocy, żadnego grosza. To nic, że zmarnowały się zapasy żywności, że u pani Wiśniewskiej woda stała pod podłogą, piec się rozleciał, zginęła butla gazowa. Przecież inwentarz im się nie potopił, zboże nie wygniło. Mieszkania służbowe mają, bo w domu nauczyciela, więc nic im się nie należy.

Rozgoryczenie wobec władz gminy panuje nie tylko w szkole.

W domu Gaciów. Wionczemin.

Matka: Trzeba przyznać, że pomoc była, ale nierzetelnie dzielona. Dzielili pracownicy gminy i komisja wiejska. Ci z komisji co **sobie** podać do remontu, to dokładnie wiedzieli, ale mnie to poinformowali, że połamany silos nie przejdzie, więc go nie podałam i nie dostałam nic. Poszły na zmarnowanie i płoty, i kury, i siano, i słoma, węgiel się zlasował jak wapno, ale PZU go nie uznało.

Dziadek: Bogatego zawsze się popiera. Córki nie stać teraz nawet na rozpoczęcie budowy nowej chałupy, chociaż ta po powodzi to już się do remontu nic a nic nie nadaje. A są we wsi i takie, co nie tylko chałupy, ale nawet i podwórka mieli suche, a po 300 tysięcy dostali.

– Zboże, ziemniaki, węgiel, ludzie przysyłali wszystko tutaj z dobrego serca, nie oglądając się na jakieś rewanże z naszej strony – słyszę od pani Lewandowskiej. – My dostaliśmy ziemniaki, wdzięczność nasza była wielka, a teraz gmina powiedziała, że nam to potrąci z odszkodowania!

Jakby nie dość jeszcze było ludziom tych wszystkich nieszczęść, które przyniósł ze sobą żywioł, tego rozgoryczenia wobec niesprawiedliwych, ich zdaniem, władz, sami go sobie nawzajem dokładają.

Dziadek: Jak w Słubicach w remizji dzielili dary, to sąsiad sąsiadowi z ręki wyrywał. A krzyk był, a hałas, a bluźnierstwo. To ma być uczciwy naród? To dziki naród! Człowiek wojnę przeżył, a tego nie widział. I ta cała nienawiść i zazdrość ludzka do dziś pozostała.

Lewandowska: Ci, co przy darach byli, żyją za to teraz razem z rodzinami. Jest i taki, co boi się innym w oczy patrzeć i zamiast drogą iść do autobusu, to się po łąkach przemyka. Ludzie dzień dobry sobie nie mówią. Wilkiem na siebie patrzą.

– Te pieniądze nie jak należy dzielone – mówi Woliński z Juliszewa – te kłótnie o dary, nie pozwalają zapomnieć. Do dziś. I nie wiadomo jak długo.

Jeszcze jest w ludziach ta powódź, jeszcze ich gnębi, a już, wraz ze zbliżającą się zimą, narasta nowy strach. Strach przed tym, co stać się może.

Nauczycielki: „Zabezpieczenie" szkoły przed powodzią to pozostawiony w niej maszt do krótkofalówki. W razie gdyby coś...

Woliński: Jeżeli woda nadejdzie, uratuje się tylko to, co się zdąży: stworzenie żywe przede wszystkim. A co zostanie, znów się zmarnuje. Co my możemy, jeśli państwo wałów nie zabezpieczy?

Lewandowski: Wicewojewoda w telewizji mówił, że woda znów wyleje. Jeśli tak, to przeżyjemy jeszcze gorsze. A jeśli się Wiśle zechce wrócić do swojej pradoliny, gdzie nasze gospodarstwa teraz są, kto temu zaradzi? Przecież brak pogłębiarek, cały środek rzeki przez dotychczasowe nieprawidłowe jej pogłębianie jest zamulony, wałów nie można być pewnym. No to my się teraz czujemy jak te króliki doświadczalne, zamknięte w klatce. Pozostaje tylko modlić się, żeby się to wszystko nie powtórzyło.

EWA KOSIŃSKA
fot. **W. Wróblewski**

P.S. Być może w urzędzie gminnym usłyszałabym inną ocenę faktów. Być może nawet argumenty byłyby przekonywające. Nie jest chyba jednak w tym wszystkim najważniejsze by został przekonany dziennikarz. Ważne, by ludzie nie czuli się skrzywdzeni.

Podwórkowy samorząd radzi...

W STARYM WAGONIE

10 lat temu opisałem w „Świecie Młodych" (w reportażu pt. „Lato w Chełmży nie jest nudne") wakacyjną przygodę małych mieszkańców ulicy Polnej z Chełmży i wcale się nie spodziewałem, że będzie ona żyć przez następne lata. Kto by pomyślał, że chełmżyński pomysł – poparty przez naszą gazetę – stanie się receptą dobrej zabawy na długi czas, zabawy trwającej do dzisiaj. Z tym tylko, że bohaterowie reportażu z 1971 roku mają już po dwadzieścia kilka lat, zaś zabawę i pracę w podwórkowym samorządzie kontynuuje spora grupa nastolatków już nie tylko z jednej ulicy, ale całego miasteczka, w którym kiedyś ponoć bywało nudno.

A wszystko zaczęło się w momencie – i co do tego są jednomyślni starsi i młodzi – kiedy p. Edward Osuch przeszedł na emeryturę i zaczął codziennie obserwować przez okno swego domu, co dzieje się na ulicy Polnej. Tamte czasy tak zawsze wspomina:

– Kilkanaście lat temu to pole pod moim domem było dla uczniów jedynym miejscem zabaw. Kiedyś zawołałem do siebie chłopców i starałem się ich przekonać, że powinni znaleźć sobie inny teren, gdzie nie niszczyliby zboża. Dałem im wtedy piłkę do grania, wcale się nie spodziewając, że w ten sposób zdobędę ich sympatię. Rozmawialiśmy o książce „Timur i jego drużyna". – Niech nam pan pomoże założyć taką drużynę – prosili. Wówczas pracowałem społecznie w komitecie blokowym. Założyliśmy więc przy nim dziecięcy samorząd blokowy. Pierwszym zadaniem samorządu stało się uporządkowanie ulicy Polnej, pełnej wtedy wyboisk i kałuż...

Mali mieszkańcy Chełmży uwijający się z łopatami i grabiami zostali docenieni przez miejskie władze. Ofiarowano im nawet... niewielki ogród oraz teren pod budowę boiska. Po zbudowaniu przy pomocy rodziców boiska powiększyło się grono chętnych do pracy w samorządzie. Mieszkanie pana Osucha nie mogło pomieścić wszystkich jego podopiecznych. Wtedy zrodził się niecodzienny pomysł, aby urządzić bazę samorządu w starym wagonie kolejowym. Stał na bocznicy nieużyteczny, ale ze zdobyciem go były wielkie kłopoty. Prośba o przekazanie wagonu, podpisana przez dziecięcy samorząd, wędrowała przez kolejne instytucje aż do Ministerstwa Komunikacji. Kiedy z Warszawy nadeszła pomyślna decyzja, pojawiły się nowe kłopoty. Jak zdjąć wagon z kół? Z pomocą przyszli pracownicy POM i kolejarze. Wypożyczyli dźwig, przysłali robotników, ale pewne koszty pokryć trzeba było samemu. Pieniądze zarobiły dzieci podczas prac w polu.

I tak powstała niecodzienna baza zabaw i siedziba samorządu. Później przejęło nad nią patronat Towarzystwo Przyjaciół Dzieci. Przed wagonem rozlokowało się własne, małe wesołe miasteczko, a w środku sala gier towarzyskich, prac ręcznych, telewizyjna, kącik odrabiania lekcji. Wnętrze swej siedziby urządziły dzieci samodzielnie.

Przez kilka lat tętniło tutaj życie. Nawiązano współpracę z harcerzami, organizowano NAL.

Wagon niestety zaczął się starzeć, niszczeć, a na dodatek podczas remontu wybuch pożar. S.O.S! Ratujcie naszą bazę! – rozpisały się dzieci do kogo tylko się dało. Jeden z listów błądząc po kilku redakcjach dotarł wreszcie do mnie. Pojechałem natychmiast do Chełmży. Było to trzy lata temu. Niestety z wagonem było niewesoło. Formalności urzędowe, przepisy, 80-letni p. Edward nie mógł wszystkiemu zaradzić.

Poszedłem do Ministerstwa Komunikacji, przypominając całą historię z wagonem. Argumentowałem, że musi się znaleźć wyjście z sytuacji. I znalazło się. Oto otrzymuję znowu zaproszenie do Chełmży. W wagonie jest wszystko, czego może tylko zapragnąć nastolatek, nawet automatyczna gra w piłkę nożną i pomysłowo urządzony gabinet samorządu dziecięcego. Nowy opiekun bazy, pan Józef Jestadt – szef TPD w Chełmży – stara się nawet o kolorowy telewizor. „Nie wszystkie dzieci mogą oglądać teleranek w kolorze, a w deszczowe dni..." Niestety, są znowu formalności, które trzeba pokonać, by otrzymać zezwolenie na kupno aparatu, mimo że są pieniądze. Pan Edward Osuch, który jest częstym gościem w Chełmży (obecnie mieszka w Toruniu) zamierza wraz z dziećmi napisać prośbę do wojewody w Toruniu.

Pan Edward Osuch (po lewej, w rogu) ze swoimi podopiecznymi w bazie-wagonie

Czy jednak telewizor jest najważniejszy? Najbardziej spodobał mi się pomysł zorganizowania w wagonie oraz okolicach miasteczka wakacji dla dzieci, które nie mogły tego lata wyjechać na obozy i kolonie.

Kiedy odjeżdżałem z Chełmży, dostałem od dzieci zlecenie:

– Proszę koniecznie odwiedzić naszego dziadka, pana Edwarda Osucha, w Toruniu. Czy pan wie, redaktorze, że jak ktoś go odwiedzi i zapyta o wagon, zaraz lepiej się czuje, ustępuje choroba. Proszę koniecznie podziękować dziadkowi za to, co zrobił dla nas. W naszej gazecie.

MIECZYSŁAW KURNATOWSKI
Fot. **autora**

Pójść śladem szeryfa w spódnicy

Darek przestał czekać na gotowe. Doszedł do wniosku, że również od niego samego zależy, jaka będzie jego drużyna.

Do harcerstwa wstąpił trzy lata temu ze zwykłej ciekawości. Był wtedy uczniem IV klasy Szkoły Podstawowej nr 11 w Ostrowie Wlkp. Pierwsza drużynowa – Jola Wieleniecka była dla niego wzorem prawdziwego harcerza. Potrafiła, jak nikt, ciekawie poprowadzić zbiórkę, zorganizować biwak czy wycieczkę, na które każdy wyruszał „po wielką przygodę". Druhna Jola była wspaniałym kumplem, przyjacielem w każdej sytuacji. Potem odeszła ze szkoły. Drużyna powoli rozpadała się. Darek był rozczarowany i właśnie wtedy zaczął narzekać.

Nowa drużynowa nie miała już takiego zapału, choć była córką harcmistrza i, jak mówi Darek, „powinna cokolwiek odziedziczyć po ojcu". Przygotowanie teatrzyku kukiełkowego dla maluchów, który miał być wystawiony na Mikołajki, przeciągnęło się do następnych Mikołajek, a i tak nie doszło do skutku. Na domiar złego, akurat wtedy zlikwidowano w szkole harcówkę, ponieważ potrzebna była sala dla „zerówki" Darek narzekał więc, że nie ma harcówki. Żalom nie było końca. Aż pewnego dnia wpadła Darkowi do rąk książka Haliny Rudnickiej pt. „Szeryf w spódnicy". Przeczytał ją jednym tchem i zamarzyło mu się prawdziwe harcerstwo. Pomyślał wtedy; „bardzo chciałbym być w takiej drużynie, jak drużyna Basi z książki."

Nadchodziły wakacje. Komenda Hufca w Ostrowie Wlkp. organizowała obóz szkoleniowy dla przybocznych. Darek nie zastanawiał się długo. Pojechał i jako najmłodszy uczestnik kursu oraz jedyny harcerz ze szkoły nr 11 otrzymał patent przybocznego. Zdobył aż 21 punktów na 24 możliwe. Od września tego roku jest przybocznym w swojej drużynie.

– Do harcerstwa trzeba mieć zapał – mówi Darek – inaczej nie jest się prawdziwym harcerzem. Przekonałem się sam, że żale nic nie zmienią i można je schować do szuflady. Dopiero kiedy wszyscy w drużynie wzięliśmy się do pracy, coś zaczęło się poprawiać.

Na pierwszych zbiórkach w tym roku Darek objaśniał terminologię i regulamin mundurowy, ponieważ mało kto wiedział dokładnie co znaczy „złaz", „biwak", czy „rajd". Odkąd skarbniczki dowiedziały się, że mają prawo nosić sznur z zielonym suwakiem, z wielką dumą zaczęły wkładać mundury. Od nowa trzeba było uczyć drużynę musztry. Na początku października zastępy zdawały egzemin sprawnościowy na mistrza musztry.

Drużyna Darka zgodnie wybrała profil turystyczno-krajoznawczy.

– Lubimy zwiedzać – tłumaczą decyzję harcerze. Na niezbędny do tego sprzęt muszą zarobić sami. Darek w tym roku zainicjował akcję zbierania owoców głogu i dzikiego bzu. Za każdy kilogram w punktach skupu „Herbapolu" można dostać kilkadziesiąt złotych. Drużyna ma już na swoim koncie około 500 zł. Pieniądze przeznaczone będą na zakup busoli.

– Butelek nie zbieramy – mówi Darek. – Moim zdaniem dla harcerza to niemoralne zajęcie. Poza tym, jak kiedyś chodziliśmy po domach, to parę razy ludzie zwymyślali nas od żebraków.

Od kiedy w szkołach są wolne soboty, trzeba rozstrzygać: zbiórka czy kółko zainteresowań. Druhna Nadona, szczepowa ze szkoły Darka, skarży się, że bardzo zmalała frekwencja na zbiórkach organizowana w ten dzień. Kółka są poważną konkurencją dla harcerstwa. W inne dni zbiórek prowadzić nie można, ponieważ szkoła pęka w szwach i nie ma pomieszczeń, a nauczyciele-instruktorzy tylko w soboty mają czas, aby poświęcić go dla harcerstwa.

Darek: Nie przepadamy za zbiórkami z nauczycielami. Niektórzy harcerze są skrępowani ich obecnością, zupełnie jak na lekcji. Poza tym takie zbiórki są bardzo często przedłużeniem zajęć szkolnych. Chciałbym, aby drużynowym był młody instruktor, który pracowałby z nami nie z obowiązku czy przymusu, ale z własnego wyboru, z zapałem i sercem. Kółka wcale nie są konkurencją dla harcerstwa. Jeśli ktoś chce, może połączyć jedno z drugim, pod warunkiem, że na zbiórkach będzie się coś dziać. Gdybyśmy mieli własną harcówkę, moglibyśmy się spotykać nie tylko w soboty.

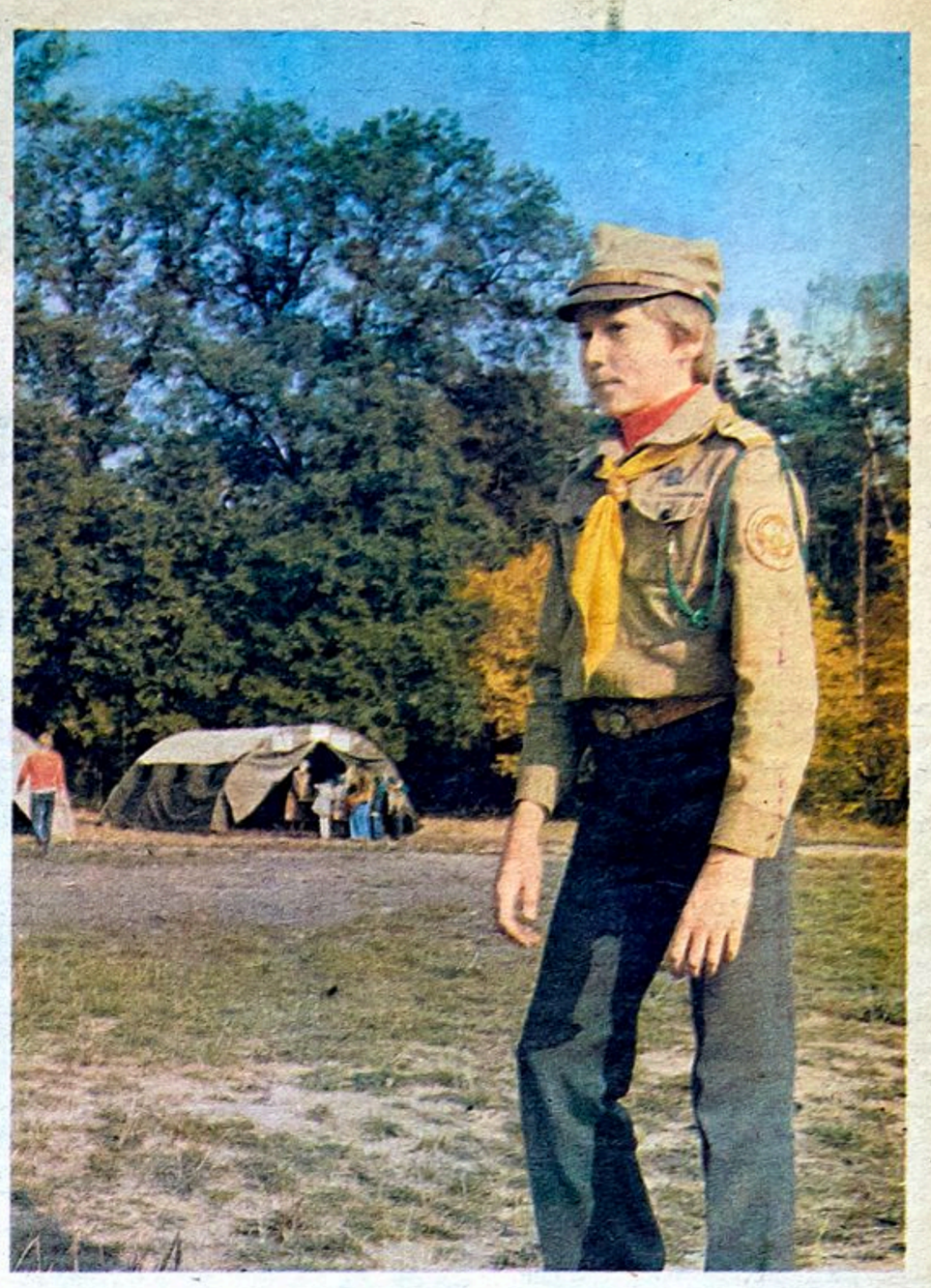

Harcówki nie ma już od roku. Ale jest w szkole niewykorzystane pomieszczenie natrysków, do którego ktoś zapomniał... doprowadzić wodę. Pomieszczenie po małych zabiegach adaptacyjnych mogłoby służyć harcerzom.

Muszę przyznać – mówi dyrektorka szkoły nr 11 – że Darek nas do pracy nad harcówką zmobilizował. Codziennie chodził za mną, prosił, tłumaczył, domagał się nawet. Już niedługo harcówka będzie gotowa. Może za kilka tygodni...

JOLANTA ZDANOWSKA

Fot. **J. Łopuszyński**

Przed sezonem

SANECZKI NA KÓŁKACH

Już od dawna mieszkańcy Alp używali sanek do transportu kamienia. Jeszcze wcześniej budowali je ludzie z dalekiej północy – w Laponii, na Syberii i Alasce. Wyścigi zaprzęgów (psy, renifery) były pierwszą formą sportowego współzawodnictwa na tych terenach. Warto wiedzieć, że psie zaprzęgi stanowiły nawet konkurencję olimpijską: w Lake Placid (1932) ścigano się na wzór londonowskich bohaterów na dystansie 81 km. Pierwsze oficjalne zawody rozegrano w Szwajcarii (1883) pomiędzy reprezentacjami bywalców znanych kurortów. W tym samym roku odbyły się pierwsze wyścigi międzynarodowe. Przez wiele lat jeździł kto chciał i na czym chciał. Dopiero w początkach XX w. wprowadzono klasyfikację sprzętu. Rywalizowano więc na toboganach, bobslejach, saneczkach i skeletonach. Na tych ostatnich jeździło siö na tzw. śledzia, głową do przodu. Do dzisiaj przetrwał jedyny, międzynarodowy klub miłośników skeletonów działający w St. Moritz. Po raz pierwszy skeletony weszły do olimpijskiego programu w 1928 roku. W tym samym czasie, na ME w Szklarskiej Porębie, wystartowały na sankach kobiety.

W 1957 roku powstał w Karpaczu, Polski Związek Sportów Saneczkowych. Konstruowano je z drewna, metalu, by wreszcie zastosować sztuczne tworzywa. Aktualnie ciężar sanek nie może przekraczać 24 kg. Najbardziej znaną firmą produkującą ten sprzęt jest austriacki „Gasser".

Zawody rozgrywane są na specjalnie zbudowanych torach o długości 1001 m. Tory buduje się dowolnie, zachowując jednak określone reguły. Każdy musi mieć spadek w granicach 8-11 proc, oraz zawierać następujące elementy: ostry lewy i prawy wiraż, wiraż zwrotny (o 180°), labirynt (kilka łagodnych wiraży) oraz jeden element składający się z dwóch wiraży ułożonych na kształt litery S. Łączą to wszystko odcinki proste. Biegi rozgrywane są w jedynkach kobiet i mężczyzn oraz w dwójkach mężczyzn: 4 ślizgi w jedynkach (2 jednego dnia zawodów i 2 następnego) oraz 2 ślizgi w jednym dniu w dwójkach. Czas mierzy się z dokładnością do 0,01 sekundy.

Największe sukcesy odnosili polscy saneczkarze w latach 1958-1962. MŚ w Krynicy w 1958 r. oglądało... 80 tysięcy widzów. Startowali w tym czasie tej klasy zawodnicy co: Jerzy Wojnar, Ryszard Pędrak, Maria Szemczyszak i Irena Pawełczyk. W ostatnich latach czołówkę światową stanowią: NRD, RFN, Austria i Włochy.

Już trzeci rok istnieje w Karpaczu Szkoła Mistrzostwa Sportowego (LO), w której trenuje, ściga isę i marzy o międzynarodowych sukcesach blisko 40-osobowa grupa młodych saneczkarzy. W Polsce nie ma sztucznie lodzonego toru, sezon trwa krótko. Przykręcają więc młodzi ludzie do drewnianych płóz... gumowe kółka i jeżdżą. Raz na najwyższym odcinku malowniczej Sudeckiej Drogi, to znów na gumowym 300-metrowym torze. Uczestniczyłem w treningu grupy Małgorzaty Piekoszewskiej – byłej reprezentantki Polski, trzeciej zawodniczki ME juniorów w 1972 roku, absolwentki wrocławskiej AWF. Pod jej okiem jeżdżą Dorota Świechowska, Dorota Kosik, Jolanta Gutowska, Ewa Pstrak, Małgorzata Fudala i Mariola Papierniok.

Po załadowaniu saneczek szkolny „Żuk" rozpoczyna mozolną wspinaczkę na grzbiet Karkonoszy. Na „skrzyni" swobodnie i wesoło. Dziewczęta zazwyczaj omawiają trudniejsze łuki znanej sobie trasy, doradzają nawzajem jak je przejechać najlepiej. Wreszcie start z góry i 3-kilometrowy zjazd z prędkością przekraczającą na najszybszych odcinkach 70 km/godz. Szosa wprawdzie szeroka, ale kilka łuków bardzo nieprzyjemnych. Trzeba znacznego zaawansowania technicznego, by „nie iść do lasu", jak żartobliwie mawiają zawodniczki. Po blisko trzech godzinach treningu wracają do Karpacza. Przed budynkiem szkoły zdejmują sprzęt z samochodu i w ruch idą śrubokręty, klucze, ropa, smary. Ubrudzone są nawet i policzki, ale humory dopisują. Wkrótce zamarzną lodowe rynny torów. Dziewczęta odkręcą od sanek kółeczka, a przymocują ciężkie, metalowe płozy o ostrych jak brzytwa krawędziach. Pomkną na nich w dół z prędkością dochodzącą do 100 km/godz. A to już nie żarty.

Tekst i zdjęcia:
JAN JARUGA

Już wkrótce gumowe koła spoczną na półkach. Krynicki tor ożyje ponownie

Takie treningi do łatwych (i bezpiecznych) nie należą. Jednak trzeba się przygotować do zimy

PAROWOZY – MOJA MIŁOŚĆ

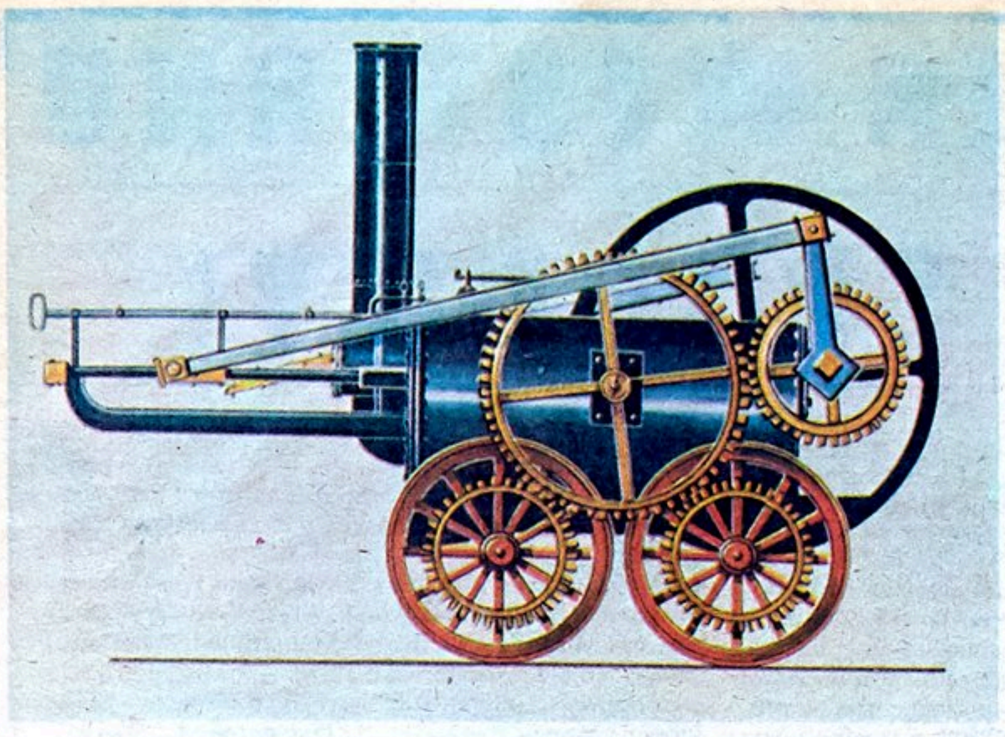

Trevithis Schwungrad – Lokomotive (1803)

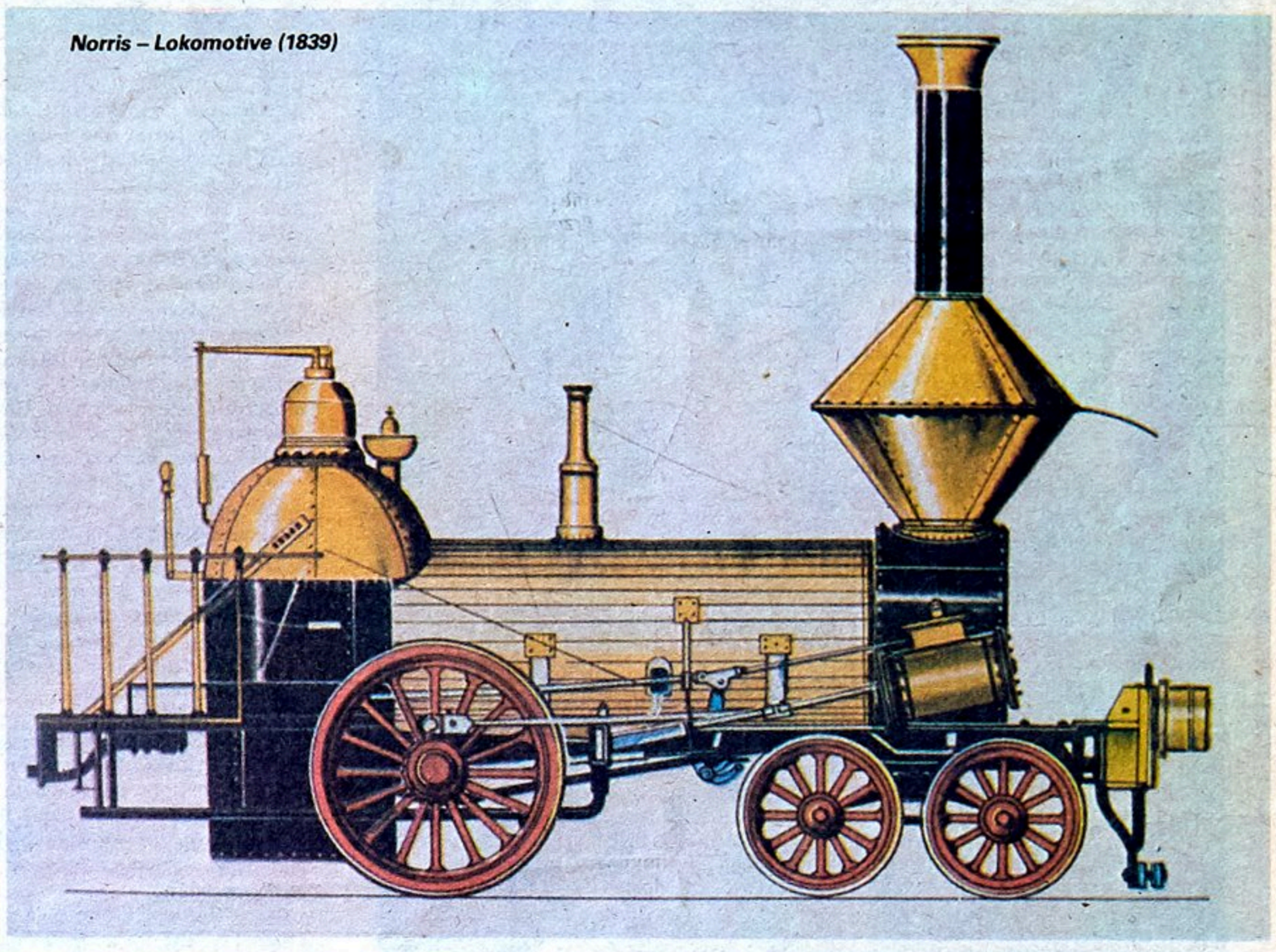

Norris – Lokomotive (1839)

Można kochać samochody, samoloty, stare żaglowce, można i... parowozy. Zwłaszcza, jeśli ma się za sobą trzydzieści pięć lat pracy w kolejnictwie. Tu drobna uwaga – pan Stefan Brechelka kocha wyłącznie parowozy wąskotorowe. Te właśnie ciężko sapiące, buchające kłębami pary „ciuchcie", nie tak jeszcze dawno związane ściśle z krajobrazem niektórych regionów naszego kraju. Dziś wąskotorówki na palcach można policzyć. Czasem natknie się człowiek wzdłuż jakiegoś traktu na ciągnący się nasyp, albo na równiutką, długą przesiekę wśród starych drzew – ślady po kolejce wąskotorowej...

– Kursuje ich zaledwie kilka w kraju. I wszystkie cieszą się nie słabnącym powodzeniem jak na przykład ta na trasie Żnin-Rzym-Wenecja-Biskupin, od 1970 roku pełniąca funkcję turystycznego pojazdu i przewożąca w każdym sezonie około 100 tysięcy turystów z kraju i ze świata...

Pan Stefan wyciąga z szuflad grube albumy.

– Proszę spojrzeć na to zdjęcie: tak wygląda żnińska lokomotywka... Warto się wybrać do Żnina. Jest to bowiem jeden z ostatnich parowozów, ma już za sobą prawie dwa miliony kilometrów przebiegu. A w Wenecji znajduje się również skansen-muzeum. Na stacji stoi dziesięć lokomotyw różnych typów, które też obejrzeć warto.

Pyta pani o „Jantar Express"? Tak, oczywiście, mamy tu wąskotorówkę. Chodzi ten pociąg prawym brzegiem Wisły na trasie Stegna-Sztutowo. Przewozi każdego roku pół miliona podróżnych i ciężko się tam dostać do wagonu. Dlaczego? Bo na ogół wycieczkowicze, a nawet wczasowicze wykupują bilety na cały dzień, żeby sobie pojeździć... Niestety, „Jantar-Express" ze względu na ochronę środowiska ciągnie ropniak. Ale, trzeba było widzieć jaką hecę zrobiliśmy na otwarcie tej linii! Przecież to jasne, że nie honor było w takim dniu puszczać jakiejś tam lokomotywy na ropę! Postanowiliśmy „przerobić po cichu" diesla na parowóz. Dorobiliśmy lokomotywie sztuczny komin, a straż dała nam kilka świec dymnych. W odpowiednim momencie te świece się zapaliło. Ciśnienie powietrza samo ciągnęło dym do komina i szedł nasz diesel na całego, udając starą „ciuchcię". Nikt się na tym nie poznał, a ile radości było...

Od kiedy datuje się moja miłość do parowozów wąskotorowych? W 1954 roku nie żyjący już reżyser – Andrzej Munk, robił film „Kolejarskie słowo". Byłem oddelegowany do pomocy jako doradca ze strony kolei. Jeździliśmy wówczas z panem Munkiem po całej Polsce. Robiłem zdjęcia parowozów i jakoś zacząłem na nie zwracać uwagę. Ale dosłownie „rozchorowałem" się, kiedy odwiedziłem w Szwajcarii swego przyjaciela – Christiana Gohla. On ma cały pokój przeznaczony na swoje hobby. A jest to pokój jak z baśni. Chodzi tam kolejka na 6-7 torach, są mosty, wiadukty, stacje, rozdzielnie, wszystko, co tylko istnieje w normalnym kolejowym ruchu. I on to wszystko na podstawie dokumentacji sam robi, w odpowiedniej skali oczywiście. Niestety, my tu wszystkiego mamy pokój z kuchnią. Moja „choroba" to z konieczności pocztówki, zdjęcia i slajdy. Ale i tego jest niemało.

Pan Brechelka był kolejarzem 35 lat. Ściślej mówiąc pełnił funkcję kierownika referatu mechanicznego do spraw mechanizacji robót, a od roku 1960 pracował w Zarządzie Kolei Dojazdowych DOKP Gdańsk w referacie do spraw mechanizacji robót drogowych i przeładunkowych na wąskich torach.

– Wąskie tory to jakby dyrekcja w dyrekcji. Zupełnie odrębne zagadnienie – wspomina pan Stefan. – A jacy ludzie tam pracowali, że wspomnę inżynierów: Maksymiliana Kwiatkowskiego i Zdzisława Jastrzębskiego... Albo mgr inż. Grinberga, obecnie jak i ja już na emeryturze... Ale wtedy... czego myśmy na tych wąskich torach nie dokonywali... Proszę pani, ludzi tam się do pracy dowoziło drezynami. Deszcz, słońce, śnieg – bez różnicy. Były to drezyny nie najszybsze, jeszcze z napędem Junaka, a więc motocyklowym. Ludzie na nich mokli i marzli, bo to odkryte. Moim pierwszym pomysłem racjonalizatorskim i pierwszą robotą w tej placówce było zbudowanie drezyny z kabiną na 10 osób, z silnikiem od „warszawy", górnozaworowym, o napędzie na jedną lub dwie osie! Do tej drezyny dostosowaliśmy również specjalny żurawik. Wyciągnik tego żurawika obracał się w koło, linką podciągał szynę i załadowywał ją lub wyładowywał na wagonik lub z wagonika. Przedtem do podniesienia takiej 10- lub 15-metrowej szyny trzeba było dziesięciu mężczyzn. I ile się musieli napocić przy robocie. Teraz wystarczało dwóch. Ale najwspanialszy mój wynalazek to mechaniczna kosiarka. Wykaszała nam pobocza torowiska. Ciągnęła ją ta sama drezyna z dwoma napędami, która siłę miała „po piorunie". Oczywiście, gdyby nie ludzie, nie byłoby nic. Ale jak już wspomniałem, współpraca z inżynierami bardzo dobrze nam się układała, no i załogę miałem wspaniałą. Takiej jak w lokomotywowni Koronowo nie ma na całym świecie. Ta załoga to same „złote rączki", z niczego robiła coś. Chociaż byli to ludzie nisko opłacani, nigdy nie liczyli godzin.

A jakie plany miałem... Moim marzeniem było uruchomić pociąg „retro" na trasie: Malbork-Kałdowo-Nowy Dwór Gdański-Stegna-Sztutowo do Krynicy. To byłby szlagier! Szlagier i pieniądze dla kolei oczywiście. Albo dla regionu. A drugi nie zrealizowany szlagier (już nawet prowadziliśmy rozmowy) – to luksusowa kolejka turystyczna od stacji Bydgoszcz-Las przez Smukałę, Koronowo na Zalew Koronowski. Wojewoda dawał ludzi do roboty, wojsko obiecało pomóc. Bo i cel był ważki – chodziło o to, aby z zatłoczonej Bydgoszczy, w okresie turystycznym ludzi wywozić nad piękną wodę.

Niestety, moje plany pokrzyżowało odejście na emeryturę... O, tu jest dyplom pożegnalny:

Z okazji 35-lecia ofiarnej pracy w przedsiębiorstwie Polskie Koleje Państwowe oraz w dniu przejścia na emeryturę... i tak dalej, i tak dalej, jak to się zawsze pięknie pisze na dyplomach. Okładkę zaś tego dyplomu zdobi wyciśnięta w miedzianej blasze lokomotywa... elektryczna.

WIESŁAWA MROCZEK

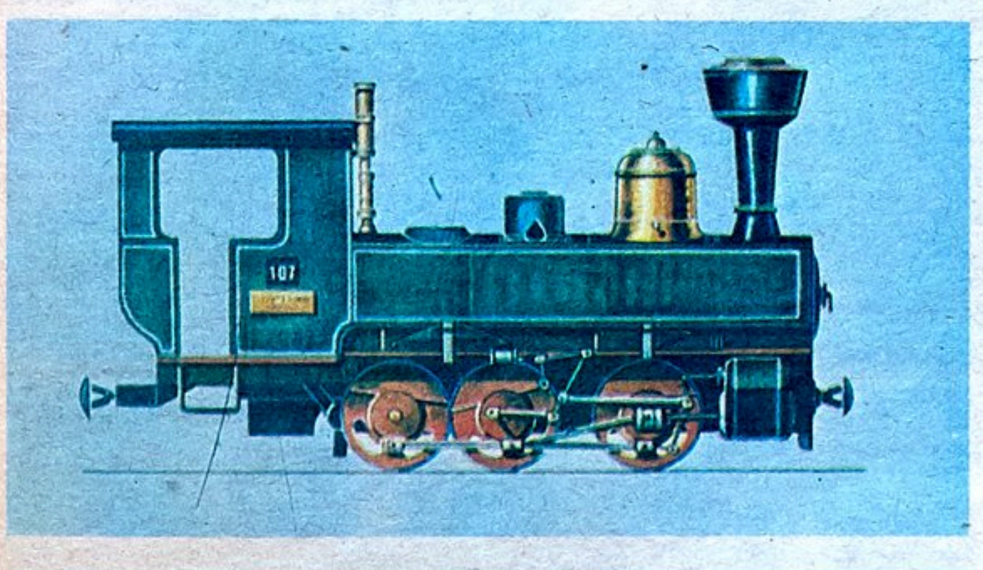

Tender – Lokomotive (1893)

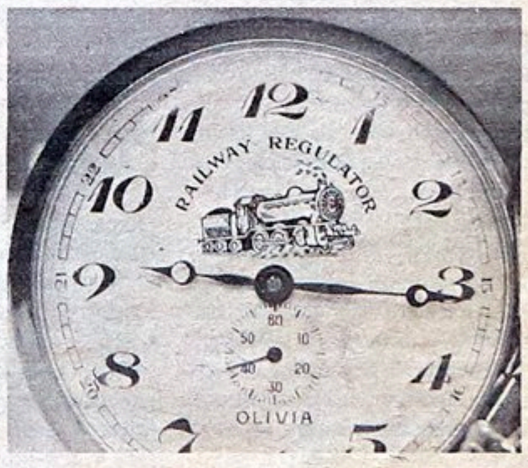

Pan Stefan Brechelka (na zdjęciu) jest gdynianinem, interesuje go również wszystko, co jest związane z Jego rodzinnym miastem

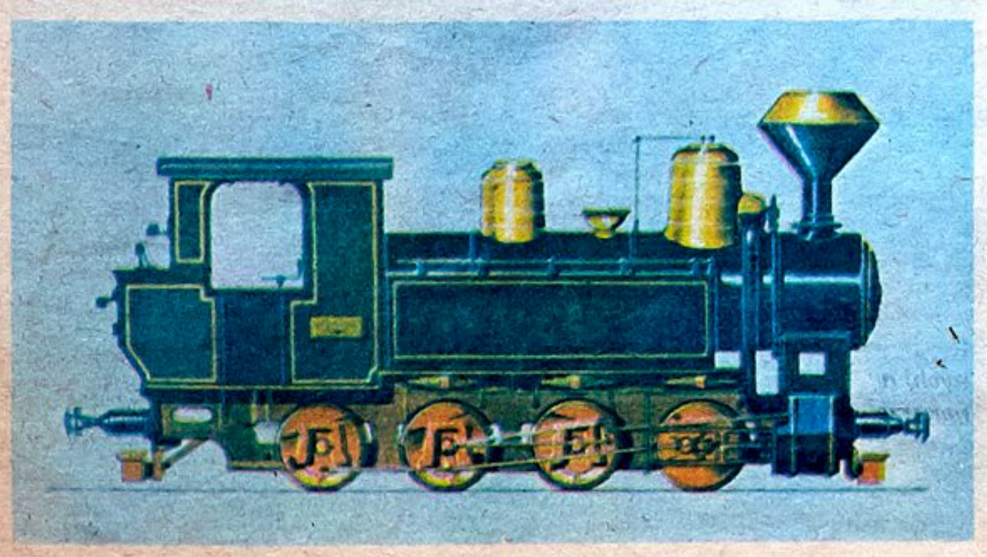

Schmalspurlokomotive der Ungarischen Staatsbahn (1906 bis 1914)

Oprócz zdjęć, slajdów i pocztówek (niektóre z nich zreprodukowaliśmy i widzicie je na zdjęciach), pan Stefan Brechelka posiada w swoich zbiorach zegarek, na którego tarczy oraz na werku, czyli pokrywie, widnieją parowe lokomotywy

Fot. **Marek Szymański**

WYMARZONY BOHATER WESTERNU – W SPÓDNICY!

GWIAZDOZBIÓR

Ten niewątpliwie damski (wyjąwszy Szkotów i parę innych bardzo egzotycznych nacji) element garderoby użyty tu jest w dużym cudzysłowie, jako symbol. Ma on podkreślić fakt, że na 102 listy, które nadeszły w odpowiedzi na sprawdzian Letniej Akademii Gwiazdozbioru przeszło 1/3 korespondentów wymarzyła sobie bohatera westernu – kobietę, ale bynajmniej nie w scenerii, w której na ogół kobieta w filmach o Dzikim Zachodzie występuje. Nie uświadczysz jej przy farmerskich garach, ani śpiewającej w saloonie. Noszą one wyłącznie spodnie, gnają po preriach na koniu i jedna w drugą (choć piszący o nich, autorzy listów tego pewno nie zamierzyli) są siostrzycami Kasi Ballou. Tyle że u większości, zamiast złotych pukli wdzięczne twarzyczki okalają hebanowo-czarne sploty. Taka jest widać nasza polska potrzeba egzotyki.

Sama lubię tę filmową bohaterkę w wykonaniu Jane Fondy, spotkaniem z nią otwierałam zresztą tegoroczną LAG, więc z przyjemnością pośredniczę w przedstawieniu tych sympatycznych sierotek, okrutnie skrzywdzonych przez los, ale dzielnych i sprawnych fizycznie jak trzech mężczyzn razem wziętych. Cieszę się, że ich powabne sylwetki zrodziły się w wyobraźni nie tylko spragnionych równouprawnienia na ekranie pań, ale i panów.

Na początek więc fragment ballady Marka z Katowic o tym, jaki wygląd zaleca szeryfowi miasteczka Rio Klawo, który(a) nosi wdzięczne miano Merilina Kolt:

(...) „Szyję przystrój w kawał chusty
i kowboja przybierz ruch
Bądź powolna w całowaniu
Ale szybka bądź w strzelaniu
Bądź jak dama – w kapeluszu
ale umiej natrzeć uszu
temu co pleni zło."

I tym żartobliwym stylem wypisał Marek aż 12 zwrotek, do których dołączył plastyczny obraz swojej bohaterki. Niestety, jest ona poturbowana nieco przez pocztę i nie nadaje się do przedrukowania. Bez tego „męskiego" przymrużenia oka potraktowała swą bohaterkę Iza z Brzozowa, nadsyłając scenariusz, który tu streszczę ze względu na jego typowość.

Mary Gordon, której ojca zastrzelił szuler – członek groźnej bandy, postanowiła się zemścić. Spakowała lasso, winchester i dwa lśniące kolty. Tak zaopatrzona ruszyła konno do zaprzyjaźnionych Indian. Spędziła u nich zimę szkoląc się w ich wojennej sztuce, by wiosną wytropić złoczyńców. Po burzliwych przygodach wraz z przyjaciółmi stawiła czoła bandzie i oczywiście zwyciężyła. Czarne charaktery znalazły się za kratkami.

Jeszcze bliższa Kasi Ballou jest Księżniczka Prerii, o której pisze powieść Ada z Kołobrzegu. Wraz z Indianami napada ona na dyliżanse, ale „nigdy nie morduje ludzi i innym zabijać ich nie pozwala". Ada pisze, że niepoślednią rolę w jej opowieści odgrywa ulubiony koń Księżniczki – Linda, który nieraz dzięki inteligencji ratuje swoją właścicielkę.

Nie zabrakło i bohaterek czerwonoskórych. Oto wizerunek „Dzikiej Pantery" z opowiadania, nad którym pracuje Dorota z Kluczborka: kruczoczarne włosy, brązowe oczy i miedziana skóra – opaska na włosach, na ramionach wspaniała opończa, indiańskie spodnie i mokasyny na stopach tworzą jej malowniczy strój. Porusza się bezszelestnie jak wąż. Jest opanowana – w krytycznych sytuacjach zachowuje zimną krew. Za swego wodza oddałaby życie.

Z Waszych listów poznałam takich kobiet wiele. Elizy, Brygitty, Kwiaty Prerii i Lekkie Stopy – wszystkie są piękne, dzielne, świetnie strzelają i jeżdżą konno. Mszczą się za doznane krzywdy (przeważnie śmierć bliskich), ale nie mordują – raczej wyręczają opieszałą sprawiedliwość. Budzą powszechną miłość i podziw, ale zanim nie dopełnią swego dzieła, nie dopuszczają do serca strzał Amora. Niektóre giną tragicznie poświęcając się za innych, niektóre znajdują szczęście domowe u boku przystojnego kowboja na jego rancho, w wigwamie nieustraszonego wodza Indian lub w skromnym mieszkanku szeryfa... Niektóre pozostają samotne, ale wtedy przypinają do piersi srebrną gwiazdę. Uważam, że choć tak różne – są typowe dla westernu, bo wszyscy marzymy o życiowym triumfie męstwa, sprawiedliwości i piękna.

EWA BIELSKA
Fot. **archiwum**

★

W przyszły wtorek dalszy ciąg spotkań z wymarzonymi bohaterami westernu. Tym razem ich imiona świetnie znacie z kart powieści Karola May'a, ale ich przygody są nowe, powstały w Waszej wyobraźni. A już za dwa tygodnie ostateczne podsumowanie i wyniki tej konkursowej zabawy. **(eb)**

DOM MODY świata młodych

Koniec gołej głowy

I to na dość długo – koniec, przed nami bowiem miesiące, kiedy człowiek rozsądny w naszym klimacie z gołą głową na dwór się nie wybiera. Oczywiście zima – to czapki włóczkowe (własnoręcznie dziergane i bardzo kolorowe) przede wszystkim. Napiszę o nich szerzej niebawem, kiedy rozpocznę swój tradycyjny zimowy „serial włóczkowy". Wstępnie – tylko tyle, że właściwie nic się w tej dziedzinie nie zmieniło i zeszłoroczna czapka włóczkowa pasuje jak ulał, chyba, że... ktoś chciałby ją sobie jakoś odmienić (np. spruć i udziergać na nowo, innym ściegiem, z innym wzorkiem, pompon dorabiając jakiś zabawny, albo likwidując tenże przy czapce starej...) Ale o tym – później, dzisiaj chciałabym przedstawić Wam kilka nakryć głowy nieco od czapki włóczkowej lżejszych. Wszak i zimą zdarzają się dni kiedy jest kilka stopni powyżej zera i opatulać się wówczas jak na mróz trzaskający nie ma sensu.

Po pierwsze – są to filcowe berety. Powinny być duże, a nosi się je bardzo różnie. Nie każdemu jest bowiem do twarzy w berecie naciągniętym mocno na głowę tak, że niemal brwi zakrywa, chociaż jest to sposób najpopularniejszy. Radzę przed lustrem wypróbować różne noszenia beretu możliwości. Dziewczyny, które sobie beret upodobały, miewają po 2–3 w różnych kolorach – jest to doskonały sposób na zmienianie tanim kosztem całego swojego wyglądu. Tanim kosztem, bo berety nie są drogie (już za ok. 100 zł bywają w pasmanteriach), a co ważniejsze można je bez większych trudów dostać, i to w różnych, bardzo ciekawych kolorach.

Po drugie – męskie czapki z daszkiem, tzw. „oprychówki". Nie są to żadne ich mutacje „dla pań", ale autentyczne męskie czapki. Która ma brata, albo tatę, co takie czapki lubi, to bez żadnych inwestycji może sobie od czasu do czasu takie nakrycie głowy założyć (po uzgodnieniu jednakże owej pożyczki z właścicielem!). No, chyba że rozmiar nie będzie pasował, ale i te czapki nosi się takie nieco za duże, żeby daszek na oczy opadał niemal.

Po trzecie wreszcie – są to proste filcowe kapelusze. Rondko mają maleńkie, wywinięte do góry, albo całkiem duże nawet, wtedy opadające ku dołowi. Fasonem przypominają letnie płócienne, albo słomkowe kapelusiki, takie „na wielki upał". Jest to ich odmiana znacznie cieplejsza po prostu. Z kapeluszem problem może być większy niż z beretem czy czapką „oprychówką", chociaż nie jest wykluczone, że właśnie coś takiego uda się Wam wypatrzeć w jakimś sklepie z kapeluszami, bo nie są to fasony dla „pań lubiących kapelusze nosić", więc wzięciem się wielkim nie cieszą. Więc o ile Wam finanse pozwolą, to kto wie... Może się również zdarzyć, że coś takiego będzie w domu – to znaczy nie dosłownie coś takiego, ale jakiś stary kapelusz mamy, który można by odpowiednio sobie na głowie wymodelować, pozbawiając go uprzednio różnych „dorosłych" ozdóbek. Poszperać i popróbować warto. Taki kapelusz ma mieć raczej posmak zabawny niż elegancki, więc nie musi być nowiuteńki. I tak się go też nosi – w charakterze dodatku zabawnego do stroju.

RIUSZKA

KTO BYŁ PIERWSZYM POLSKIM NAUCZYCIELEM?

KRAKÓW (PAP). Jak brzmiało nazwisko pierwszego polskiego nauczyciela? Gdzie mieściła się pierwsza polska szkoła? Na te pytania nauka nigdy już chyba nie przyniesie pewnej odpowiedzi. Wiadomo tylko, że pierwszy okres naszego szkolnictwa przypada na lata 966–1215, kiedy to w kilku większych miastach działały szkoły katedralne, klasztorne i kolegiackie, kształcące wyłącznie kadry na potrzeby Kościoła. Dziś trudno ustalić konkretne miejsca, w których znajdowały się budynki, wiemy jednak np. gdzie mieściła się założona w roku 1110 szkoła katedralna na Wawelu. Wykładowcami w tych szkołach byli wyłącznie duchowni, zaś uczniów nie mieli zbyt wielu. Pierwszym naszym władcą, który umiał czytać i pisać (oczywiście po łacinie) był – jak odnotowały kroniki pod datą 1192 – Kazimierz Sprawiedliwy.

Drugi etap polskiego szkolnictwa rozpoczyna się w roku 1215, kiedy to decyzją soboru laterańskiego powstały prawne podstawy do tworzenia szkół łacińskich parafialnych. Naukę pobierało w nich wiele osób świeckich, co nie zmienia faktu, że w czasie procesu z Krzyżakami w 1339 roku na 55 świeckich świadków zaledwie 4 mówiło po łacinie. Warto jeszcze odnotować że od 1257 roku każdy nauczyciel szkoły parafialnej musiał być Polakiem lub płynnie mówić po polsku. W ten sposób zamierzano zahamować zalew niemczyzny.

Niekompletne akta krakowskiego, założonego w 1364 roku Uniwersytetu, również nie pozwalają ustalić z całkowitą pewnością nazwiska pierwszego polskiego nauczyciela. Dopiero pod datą 1390, kiedy to nastąpiła pierwsza próba odnowy uczelni, znajdujemy informację, iż wykład wygłosił prawnik, magister Bartłomiej z Jasła. I od nazwiska owego magistra można wieść już bardziej ścisłą historię polskiego szkolnictwa przypominając, że nauczycielem w owej epoce najsłynniejszym był wychowawca synów Kazimierza Jagiellończyka – Jan Długosz.

(kl)

AKADEMICKA KONNA STRAŻ OCHRONY PRZYRODY

(PAP). Sześć sezonów ma już poza sobą akademicka konna straż ochrony przyrody, skutecznie pomagająca w ochronie środowiska naturalnego w rejonie Wolińskiego Parku Narodowego. Przemierzając najbardziej uczęszczane nadmorskie szlaki w rejonie parku, spełnia ona swe obowiązki na zasadach społecznych. Ponieważ jednak wiąże się to z pewnymi wydatkami, studentom spieszą z finansową pomocą m. in. Wydział Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej Urzędu Wojewódzkiego, Nadleśnictwo Międzyzdroje, Woliński Park Narodowy, Akademia Rolnicza, Zarząd Wojewódzki LOP.

(kl)

Leszek Lewandowski swoją korespondencję zaopatruje pytaniem – dlaczego Mars jest czerwony? – i próbuje na nie odpowiedzieć, chyba z powodzeniem. Zdjęcie zamieszczone obok, to obraz powierzchni Marsa wykonany w NASA na podstawie obrazów przekazanych przez sondę Vikinga.

Uwaga, Albert Cieślikiewicz, ul. J. Krasickiego 16/36, 25-404 Kielce – poszukuje soczewek do budowy amatorskiej lunety – jednej o ogniskowej 1 m i średnicy 5 cm, drugiej – o ogniskowej 2 cm. Kto może mu pomóc, niechaj napisze do Alberta.

PREZES

Dlaczego Mars jest czerwony ?

Po przesłaniu na Ziemię zdjęć powierzchni Marsa i dokonaniu analiz jego gruntu przez automatyczne sondy, można z przekonaniem twierdzić, że jego powierzchnię pokrywa warstwa tlenków żelaza. Hipotetyczne mniemanie, iż czerwony kolor planeta zawdzięcza getytowi, tzn. związkowi żelaza z wodą, który wchodzi w skład zwyczajnej rdzy, było znane już dawno. Powstanie owej rdzy wiązano z odległym czasem, kiedy na powierzchni Marsa miało być wiele wody. Ale pojawia się naturalne pytanie: skąd na Marsie rdza – getyt lub limonit? Przecież dla tego niezbędne jest żelazo metaliczne. Ponadto wiadomo, że getyt jest ciemnoszary, nawet czarny. Sproszkowany limonit bywa nawet żółty. Więc – nie czerwony.

Matematyk radziecki dr W. Podubny wysunął hipotezę, że tym hipotetycznym związkiem jest popularny w przyrodzie tlenek żelaza – hematyt. W warunkach ziemskich związek ten występuje w formie nalotów na ścianach kraterów wulkanów. Czerwony hematyt mógł powstać na Marsie w wyniku działalności wulkanicznej. Wydzielające się ze szczelin i kraterów gazy spalały się i tworzyły hematyt i dwutlenek węgla, który teraz jest podstawowym składnikiem atmosfery tej planety. Obserwowane często na Marsie burze pyłowe mogą być tłumaczone niezwykłą lekkością proszku hematytowego. Na Ziemi jest on 2,6 raza lżejszy od powietrza. Tak lekka substancja może tworzyć chmury widoczne z Ziemi.

Leszek Lewandowski

Jeszcze na temat UFO

W 62 numerze „ŚM" Elżbieta Oworuszko podała kilka hipotez dotyczących obcych cywilizacji.

Według pierwszej z nich istoty z innej planety mają nas obserwować i oczekiwać właściwego momentu na pojawienie się na Ziemi. Ale zaraz autorka sama temu zaprzecza pisząc, że: „Ziemia posiada teleskopy o dużej sile powiększania. Oprócz tego posiadamy dużą liczbę satelitów."

Zakładając, że obca cywilizacja rzeczywiście nam się przygląda, to czy nie może ona dokładnie maskować się przed ziemskimi teleskopami i czy sztuczne satelity mają za zadanie tylko obserwować kosmos?

Następna hipoteza mówi, że kosmici są tak od nas oddaleni, że przy współczesnym poziomie umysłowym mieszkańców obu planet kontakt jest niemożliwy.

To przypuszczenie podoba mi się. Wszechświat przecież jest tak wielki, że człowiek nie może go sobie wyobrazić. Dlaczego więc gdzieś daleko nie miałyby się rozwinąć organizmy żywe (kto mówi o całej cywilizacji?!)?

Autorka artykułu nie poruszyła jeszcze jednej możliwości. Przecież UFO może w ogóle nie istnieć. Co prawda sam w to nie wierzę, ale jednak przypuszczenie to może być prawdziwe.

Jak już napisałem, moim zdaniem w kosmosie mogą istnieć żywe twory, ale nie wiem co sądzić o ich odwiedzinach Ziemi. Może byli, może nie byli, a może będą – nie wiem.

E. Oworuszko pisze jeszcze, że nie rozumie dlaczego przywódcy państw socjalistycznych i kapitalistycznych wydają olbrzymie pieniądze na zbrojenia, zamiast tego samego nie wydawać na rzecz penetracji kosmosu.

A przecież podbój kosmosu rozpoczęto z myślą o uzyskaniu przewagi strategicznej. Ale poza rakietami kosmicznymi, sputnikami i sztucznymi satelitami są nasze ziemskie problemy, jak: głód, ciągle groźne choroby i epidemie itp. Na to też potrzeba płacić.

Andrzej Godyń

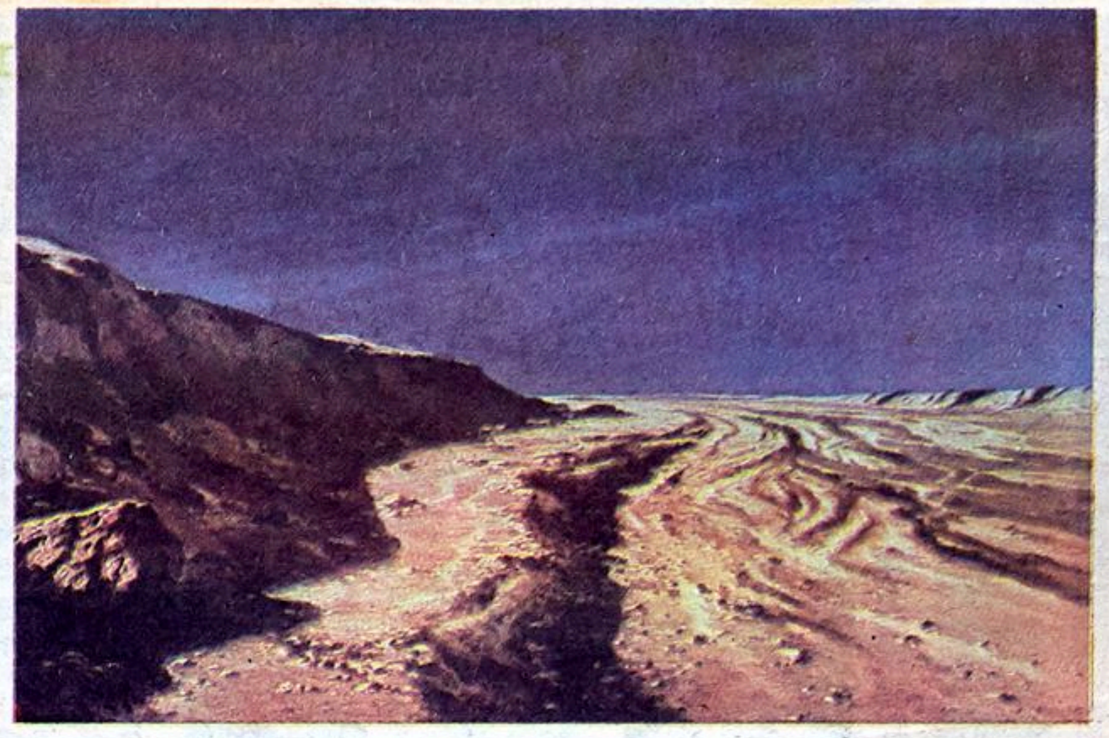

OLBRZYM W MGŁAWICY TARANTULI

Chciałbym poruszyć sprawę ciekawego odkrycia trzech astronomów amerykańskich z uniwersytetu Wiskonsin-Madison w USA. Otóż odkryli oni w wielkim obłoku Magellana gwiazdę olbrzyma. Gwiazda ta oznaczona dotąd na atlasach nieba jako R 136 A okazała się gwiazdą ciekawą ze względu na swą masę i temperaturę. Astronomowie ci obliczyli, że masa jej prawdopodobnie jest 3,5 tys. razy większa od masy Słońca, a temperatura tej gwiazdy na powierzchni jest prawdopodobnie 10-krotnie większa od słonecznej.

Obiekt ten znajduje się od nas w odległości 150 tys. lat światła w mgławicy Tarantuli. Część jednak promieniowania nie dochodzi do Ziemi bowiem zostaje pochłonięte przez atmosferę ziemską. Naukowcy więc, aby przeciwstawić się tej trudności posłużyli się w badaniu tej gwiazdy międzynarodowym satelitą „Ultraviolet Explorer". Satelita ten umożliwił jednemu z naukowców stwierdzić, że ten rejon nieba obfituje w gwiazdy o ciekawych właściwościach. Według dotychczasowych teorii kosmologicznych czym większa gwiazda tym szybciej ginie, a więc R 136 A bardzo szybko wypromieniowuje swoją energię. Według obliczeń gwiazda ta wypromieniowuje co tysiąc lat jedno nasze Słońce i może świecić około 1 mln lat. Jak wiemy istnienie Słońca oszacowano na około 10 mld lat. Według dotychczasowych teorii kosmologicznych istnienie takich gwiazd jest niemożliwe.

Jeśli hipoteza ta zostanie potwierdzona, trzeba będzie przebudować dotychczasową teorię procesów tworzenia się gwiazd, a tym samym teorię kosmologiczną.

Jarosław Ronek

Z załogą i szybkim komputerem

Specjaliści z Japońskiej Agencji Kosm. pertraktują z amerykańską NASA w sprawie udostępnienia kosmicznego wahadłowca dla celów budowy załogowego satelity telekomunikacyjnego. Satelita ten byłby nie tylko swego rodzaju centralą telefoniczną, ale jednocześnie stacją komputerową, przekazującą rozmowy telefoniczne i dane komputerowe na obszarze południowo-wschodniej Azji. Na pokładzie satelity Japończycy zamierzają umieścić nowy komputer, opracowany w Ośrodku Josephson Computers w Palo Alto (Kalifornia). Warunki kosmiczne (nieważkość) sprawią, że komputer ten zbudowany przy wykorzystaniu tzw. łączy Josephsona, będzie lepiej funkcjonował na orbicie niż na Ziemi. W warunkach ziemskich zjawiska niezbędne dla pracy łączy zachodzą w temp. bliskiej absolutnego zera, natomiast w kosmosie już w temp. minus 20°C.

Plany umieszczenia na orbicie satelity trzeciej generacji powstały w wyniku studiów japońskiego urzędu telekomunikacji. Specjaliści są zdania, że zapotrzebowanie na usługi telekomunikacyjne w końcu lat osiemdziesiątych może być większe niż możliwości ich zaspokojenia za pomocą konwencjonalnej techniki kablowej. Japońskie przedsięwzięcie zaskoczyło specjalistów telekomunikacji na Zachodzie. W Wielkiej Brytanii, w związku z przewidywanym zapotrzebowaniem na usługi telekomunikacyjne, łączy się nadzieje z rozwojem informatyki w oparciu o sieć kablową. Prof. Ian Fordyce – jeden z doradców rządowych w W. Brytanii twierdzi, że należy przemyśleć ponownie plany rozwoju telekomunikacji z uwagi na zmiany Japończyków. „Już nie po raz pierwszy zaskoczyli oni inne kraje nie tyle samą techniką, co wybiegającym w przyszłość myśleniem".

Wojciech Gargula

Wyszedł na korytarz i zawołał Smarkula. Matka wysunęła głowę z kuchni.

– Właśnie wyszły.

Wybiegł przed dom. Furtka kołysała się, jak godzinę przedtem, choć nie było wiatru. Zobaczył mnie i Smarkula, maszerowałyśmy ulicą. Krzyknął za nami. Gdy zatrzymałyśmy się, zamknął starannie furtkę i powiedział, że amulet ma Rybak albo sąsiad. W każdym razie Rybak go zabrał.

– Ukradł – oznajmił zawzięcie. – Mogłem się tego spodziewać. Za bardzo się chwalił swoim doktoratem. Przyszedł, węszył i ukradł. I siostrę mi w to wciągnął. A matka nie wierzy, że on się nie ndaje. I ojciec też koło niego skacze. Złodziej, po prostu złodziej.

Kazałam mu przestać, ale Róża nie mógł się już powstrzymać. Rozładowywał złość na Rybaka gromadzoną od dwóch dni, od chwili, w której Szarooka powiedziała, że Rybak robi doktorat, a ojciec od razu zmiękł i podejmował go jak honorowego gościa, i nawet mój ojciec zeszedł na drugi plan. A matka po cichutku, nieumiejętnie podsuwała Rybakowi Szarooką jako kandydatkę na żonę. I Rybak brał wszystko, jakby mu się to należało, podczas gdy, kiedyś, tamtemu uciekinierowi nie dano nic, bo nie spodziewano się rewanżu.

– Ja go stąd wykurzę – powiedział. – Nie będzie miał życia. Zna się jeszcze paru chłopaków.

Zdecydowanie kiwnął głową.

– Tak, zna się jeszcze paru chłopaków – powtórzył i szybko, nim zdążyłam spytać, o czym myśli, zaproponował, byśmy się rozdzielili. Wiadomo, kogo szukać, więc lepiej szukać w pojedynkę. Unikał mojego wzroku, unikał patrzenia na mnie, bo choć wolałby pójść razem z nami, nie mógł tego zrobić, jeśli zamierzał zrealizować nagle powstały plan. – Idziemy osobno. Aśka przepatrzy dom sąsiada – wskazał górujący nad domem jego rodziców pagórek zwieńczony chałupą – i okolice, Smarkul do lasu, a ja biorę na siebie resztę.

Nie czekał na odpowiedź. Pobiegł do centrum wsi.

2.

Na skraju świadomości czuwał niepokój. Rybak rozmawiał niegłośno z sąsiadem rodziców Róży, z człowiekiem, który chciał się ogrzać, jak go nazywał Smarkul, ale niejasny lęk czy poczucie winy nie odchodziły ani na chwilę, choć przecież wreszcie – po dwóch dniach – zdecydował się na energiczne działanie. Kroczył obok sąsiada, podnosząc ciężkie nogi w wysokich butach, które sąsiad przyniósł ze sobą, w gumowych kaloszach, dłuższych jednak niż zwykle, przepatrywał skupienia krzewów, czasem nurkował w nie, jeśli można było podejrzewać, że w środku kryje się wolna od roślin przestrzeń: i co chwila przyłapywał się na rojeniach o Smarkulu, który obudzi się, sięgnie pod poduszkę i nie znajdzie amuletu.

Plan dojrzał poprzedniego dnia wieczorem, kiedy Smarkul położył się już spać, a Rybak wyszedł przed dom popatrzeć na niebo i spotkał jeszcze raz Szarooką, siedzącą na ławce przed domem, w zbyt lekkiej sukience, którą natychmiast znów okrył swą pożyczoną marynarką – był to jedyny poufały gest, na jaki odważył się wobec dziewczyny; wdzięczny był ojcu Szarookiej za tę marynarkę. Stał obok niej, pokazywał gwiazdozbiory, ale okazało się szybko, że Szarooka orientuje się w nich lepiej, i wtedy z cienia wyszedł sąsiad, ów człowiek z pogorzeliska, człowiek, który chciał się ogrzać, ubrany tak samo jak za dnia, w nieokreślonego kroju marynarkę i wymięte spodnie pod rozpiętym płaszczem, w kapeluszu nasuniętym nisko na oczy tak, że twarzy w ogóle nie było widać w ciemności, nawet jako plamy – i ta zjawa bez głowy odezwała się ciepło i blisko, jakby kontynuując rozmowę;

– Czy ona śpi?

– Tak – powiedziała Szarooka, od razu zorientowała się, o kogo sąsiad pyta.

– Ona ma jajo Czteropalcego.

– Talizman – odezwali się jednocześnie Rybak i Szarooka.

– Może to nie przez pożar. Może on dlatego się kryje, że to stracił?

Mężczyzna zapalił papierosa, na chwilę oświetlając dłonie i podbródek, potem jego oczy zamigotały chłodno jak robaczki świętojańskie.

– Może on szuka – dodał.

Szarooka przesunęła się na ławce i zrobiła mu miejsce.

Cdn.

Antresolka profesora Nerwosolka

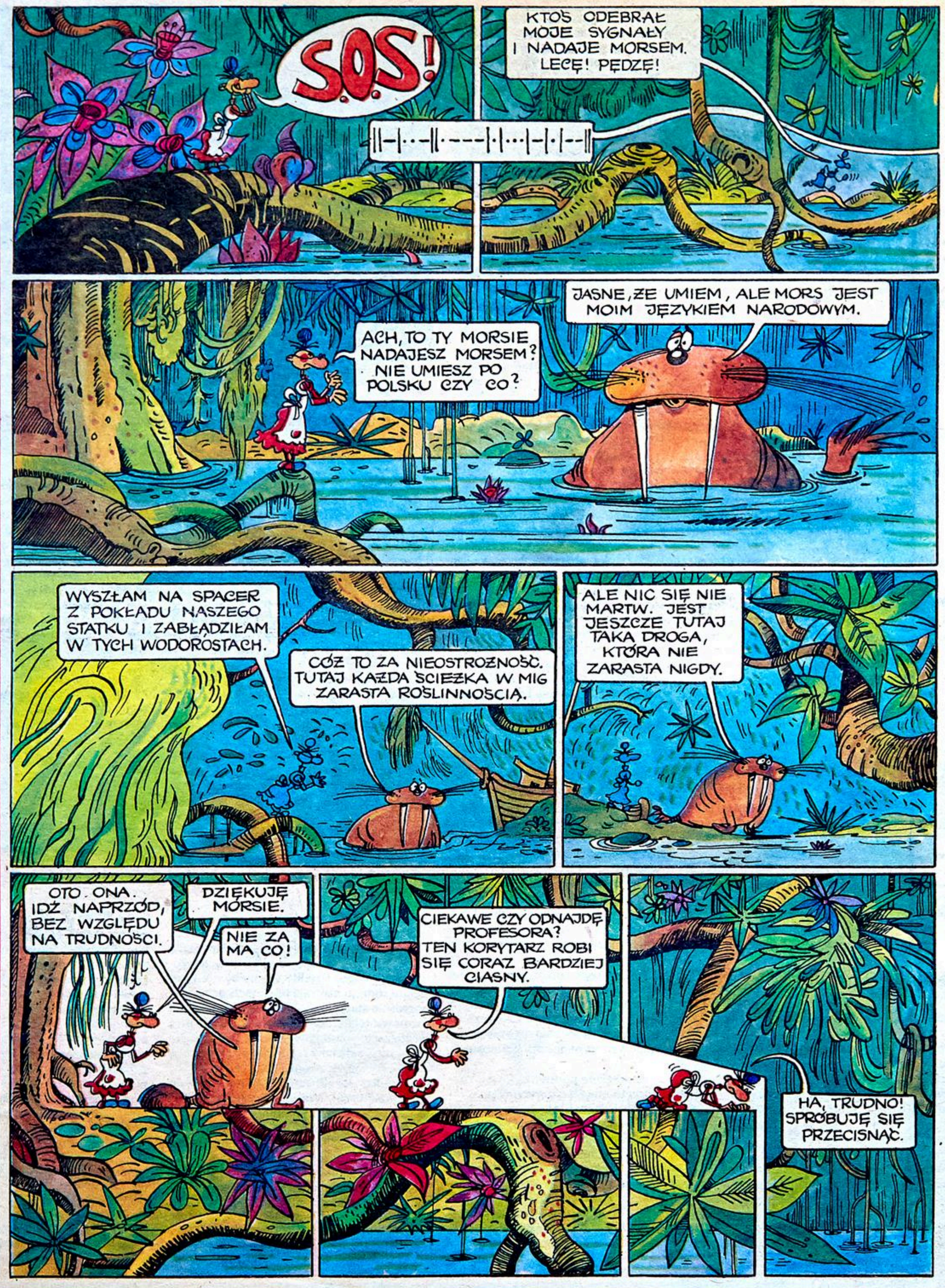

15

tekst & rysunki T. BARANOWSKI

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.) Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski, (sekretarz redakcji)
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne
Inna Bójska
Opracowanie techniczne
Jerzy Rusak
Korekta
Bianka Abratowska-Lisowska
Nakł. 500292
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 4790/G. Z-25

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

– NAJLEPIEJ to mają telewidzowie w Wenecji...
– Tak? Dlaczego?
– No, tyle tam kanałów...

★

NIEDZIELNY wędkarz siedzi na brzegu. Podchodzi nieznajomy i mówi szeptem: „Witam pana. Jestem miejscowym kronikarzem. Gdyby pan cokolwiek złowił, proszę mnie o tym zawiadomić. Ostatnio złowiono tu rybę 16 maja 1634 roku..."

Jeśli tego nie ma, to to jest ukradzione – zapewniał Smarkul i wyciągając szyję spojrzał na patelnię. – Tam jeszcze coś zostało? – spytał ze zdenerwowaniem. – Bo ja muszę mieć te siły.

Róża obserwował Szarooką. Teraz, gdy postawiono przed nią talerz, jadła metodycznie, powoli, nie unosząc głowy. Smarkul pałaszował jajecznicę i ciągle popatrywał na patelnię, ale od czasu do czasu pociągał płaczliwie nosem, dając do zrozumienia, że pamięta o talizmanie, a jej apetyt wynika tylko z poczucia obowiązku.

Róża odsunął jedzenie i wyszedł, nie zważając na oburzony okrzyk matki, która odżałowawszy jajka, domagała się, by zjeść wszystko do ostatniego kęsa. W pokoju moim i Smarkula panował porządek. Szukał jednak. Torba, w której przywiozłyśmy swoje rzeczy, stała na jednym z łóżek, a obok niej piętrzył się stosik odzieży. Pod łóżkami było tylko trochę kurzu. W szafie pusto. W szufladzie stolika znalazł owiniętą w papierek grudkę ziemi, jeszcze trochę wilgotną. Poprzedniego dnia, gdy po bójce z Piotrem próbował się oczyścić, pomagałam mu i zauważył, że schowałam zgarniętą z jego ramienia kulkę błota; Piotr, gdy już upadł, próbował kopać i rozpryskiwał trawę i ziemię. Schował papierek na miejsce. Pod materacami nie było nic. Wyszedł cicho i zajrzał do komórki, w której spał Rybak, ale i tu nie znalazł nic, choć, po krótkim wahaniu, przetrząsnął wszystkie rzeczy. Wychodził już, gdy do komórki bezszelestnie wsunęła się Szarooka.

– Nie szukaj – powiedziała. – Nic tu nie ma. I jak śmiesz wchodzić do cudzego pokoju?

–Ty wiesz, gdzie to jest.

Nie odpowiedziała. Patrzyła na czarną marynarkę, rozwieszoną na krześle. Rybak jeszcze nie zwrócił jej ojcu. Przecinał ją bordowy wężyk krawata.

– Po co wam to? – spytał Róża.

– Nie bój się. Nie zginęło. Może się uda znaleźć... wiesz kogo.

– Trzeba jej było powiedzieć. Dziewczyna płacze, martwi się. Wy zawsze uważacie, że macie do wszystkiego prawo.

– My? Kto?

– Wy. Dorośli. Wam wolno. Macie prawo dawać i zabierać.

– On musiał to mieć.

– Mógł poprosić – krzyknął Róża i uderzył pięścią w szafę. Odezwała się głośno i rozwarła drzwi. Na jednym wieszaku wisiał smętnie płaszcz.

– Nie dałaby – Szarooka zamknęła drzwi szafy. Odchodząc od niej musnęła marynarkę i delikatnie pogładziła krawat.

– Nie dałaby? A skąd ty wiesz? Co ty wiesz o niej? O nas? Myślisz, że jak się bawiła tym i wierzyła, że to ma moc, to już nie dałaby? W dobrej sprawie? Jeśli to jest dobra sprawa. Ale nie. Wy wiecie lepiej. Musicie zakradać się i zabierać jej to jak złodzieje.

– Ja przy tym nie byłam.

– Ale wiedziałaś. Pójdę jej powiedzieć.

– Nie – siostra Róży zatarasowała przejście i rozłożyła ręce. – Nie powiesz. Nie chcę krzyków na całą wieś. On niebawem wróci.

– Powiem – uparł się Róża. – Choćby dlatego, żebyś się przekonała. Nie mieliście prawa okazywać nam takiej pogardy. Ani mnie, ani Aśce, ani Smarkulowi.

Siostra opuściła ręce i odsunęła się od drzwi. Kiedy przechodził obok, ruszyła naprzód, jakby chciała go pieszczotliwie przytulić. Uchylił się.

– To przecież głupstwo – powiedziała.

– Ja słyszałem, jak ona płacze – odparł. – Ty też. Słyszałaś? – a gdy skinęła głową, dodał: – No więc wiesz, dlaczego to nie jest głupstwo. Ktoś przez was płakał.

Dokończenie na str. 7